MYŚL NARODOWA

TYGODNIK POŚWIĘCONY
KULTURZE TWÓRCZOŚCI POLSKIEJ

ROK XIV. Nr. 45. WARSZAWA, 21 PAŹDZIERNIKA 1934 R. CENA NUMERU 80 GR.

TRAGEDJA JUGOSŁAWJI

OHYDNY mord marsylski, którego ofiarą padł król pobratymczej Jugosławji, spotkał się u nas nietylko z silnem echem oburzenia, ale także i z echem pewnego zdziwionego przestrachu. Nie spodziewaliśmy się poprostu, że wewnętrzna walka w Jugosławji jest tak ostra i nie potrafiliśmy sobie dobrze tej tragedji wytłumaczyć; wydawało się nam dziwną i karygodną lekkomyślnością sięgać w błahych, zdawałoby się, zatargach, po tak okrutną i niebezpieczną broń terroru. Tymczasem wydarzenia marsylskie mają podkład głęboki i nie są echem zwykłej kłótni wewnętrznej,— to opłakany skutek ostrej walki dwu ludów...

W każdym razie stała się rzecz straszna i groźna dla powojennego porządku rzeczy w Europie. Gazety podały, że ostatniemi słowami króla Aleksandra było pełne obaw wezwanie: „Strzeżcie Jugosławji!" i strzec tego państwa naprawdę potrzeba, bo jego dramat wewnętrzny wszedł w tak krytyczne stadjum, jakiego już od paru lat, bo od zabójstwa Radića i belgradzkiego procesu jego zwolenników, tam nie było. Przytłumiła wojnę domową, zdawało się, królewska dyktatura, ale naprawdę sprowadziła ją tylko do podziemi, postawiła poza prawem i w rezultacie doprowadziła do strasznej katastrofy.

Ale dlaczego ta wojna wewnętrzna, dlaczego takie krwawe ofiary? Oto pytanie, narzucające się dzisiaj, a na które większość osób odpowiedzieć nie potrafi, albo odpowie źle, bo powszechna u nas ignorancja rzeczy słowiańskich święci prawdziwe triumfy, gdy chodzi o Jugosławję, — o niej naprawdę, mówiąc wulgarnie, nie mamy „zielonego pojęcia".

Przeciętny Polak jest przekonany o ścisłej jednolitości obu jugosłowiańskich szczepów, bo skoro one mają jeden język, to w jego przekonaniu muszą też stanowić jeden naród. Wprawdzie ten naród nie jest jednolity religijnie, ale przecież są i inne niejednolite pod tym względem narody. Nie tworzył nigdy jednego państwa, ale Czechy i Morawy też się rozdzielały; więc to wszystko drobnostki. No i wreszcie ten przeciętny czytelnik gazet jest święcie przekonany o przewadze Serbów nad Chorwatami, skoro oni mieli własne państwo i Jugosławję wywalczyli, a tamci stale byli pod węgierskiem jarzmem. Takie sądy, to nie jest już uproszczenie historji, ale jej całkowita ignorancja, a raczej gorzej jeszcze, bo jej fantastyczne wyinaczenie.

W takim skrócie, to co słowo to fałsz, a największym bodaj ze wszystkiego fałszem jest zdanie, że język rozstrzyga o narodowości. Drugim nonsensem jest uznanie katolicyzmu i prawosławia za prostą różnicę religij, gdy tymczasem to coś znacznie więcej, bo dwa światy duchowe, dwie obce sobie cywilizacje.

I na tem właśnie polega tragedja Jugosławji. Tam Chorwaci i Serbowie, to nietylko dwa całkiem odrębne ludy, ale też i przedstawiciele dwu odmiennych ideałów cywilizacyjnych — Wschodu i Zachodu. I właściwie Chorwatów z Serbami łączy tylko język i rasa — wszystko inne ich dzieli. Dzieli ich historja, bo w całym jej ciągu, od samego jej zarania, nie tworzyli nigdy jednego państwa, ale stale dwa odrębne, często nawet w walce z sobą będące. Dzieli religja, bo Chorwaci, ochrzczeni już w VII-ym wieku, jeszcze na soborze w Splicie w 924 roku uznali prymat Rzymu, a już po ostatecznej schizmie ich król Krasimir II w r. 1076 złożył przysięgę uległości papieżom na ręce legata. Dzieli alfabet, a temsamem niema już istotnej jedności języka, bo książka chorwacka nie dociera do Serbji — a serbska do Chorwacji. Dzieli struktura socjalna, skoro Chorwaci, naród o ciągłości historycznej, zachowali wyższe warstwy narodowe, gdy Serbowie są

jednostronnie chłopskim społeczeństwem. Słowem, dzieli ich niemal wszystko, a łączy prawie nic, bo tylko ten język, decydujący jedynie dla filologów.

Nic więc dziwnego, że gdy państwo, utworzone w r. 1918 na zasadzie dobrowolnej, wspólnej umowy (traktat w Korfu, analogiczny do pittsburskiego Czechów i Słowaków) Serbowie uznali tylko za wielką Serbję, a nie za zjednoczone królestwo Serbów, Chorwatów i Słoweńców, jak nawet zrazu jego nazwa urzędowa brzmiała, walka wybuchnąć musiała, tembardziej, że za prymatem serbskim nic absolutnie nie przemawia, bo nie tworzą oni nawet liczebnej większości.

I tu znowu przystąpić trzeba do rozbijania iście chińskiego muru ignorancji. Bo pominąwszy już sprawę ogólniejszą prymatu kultur Rzymu czy Bizancjum, nie, jak się to powszechnie myśli, górują Serbowie nad Chorwatami, ale wręcz odwrotnie, i to górują wszechstronnie. Choć bowiem skłonni jesteśmy przyznać Chorwatom przewagę duchową, świetniejszą literaturę, większy rozwój nauk, świadomi trochę dubrownickich splendorów, to jednak stanowczo uważamy, że Serbowie mają więcej zalet państwowych i świetniejszą historję, że niejako Chorwaci to jacyś *„Graeculi"*, niezdolni państwowo myśleć marzyciele, a Serbowie to twardzi, organizatorscy Rzymianie. Na pierwszy rzut oka wydaje się to, w istocie to taki sam fałsz, jak poprzednie.

Po wymarciu bowiem rodzimej dynastji Krasimirowiczów, państwo Chorwackie nie utraciło, jak się to mylnie mniema, swojego bytu; węgierscy królowie Władysław Święty i Koloman Bibljofil, którzy złączyli Chorwację z Węgrami, nie dokonali tu podboju, ale przyzwani przez pewną część ludności, jako krewni wymarłej dynastji, połączyli oba berła na zasadzie unji i choć, oczywiście, silniejsze Węgry zyskały odrazu prymat, to jednak Chorwacja cieszyła się szeroką autonomją i dużym wpływem na sprawy wspólnego państwa; wpływem tem silniejszym, że Chorwaci, starsi historycznie i cywilizacyjnie od Węgrów, stali się u nich pionierami związków z Zachodem i w ich życiu państwowem nader się zaznaczyli. To też wiele ze splendorów historji węgierskiej jest także i chwałą Chorwatów, którym należą się laury Zrińskich, Jurisicza, Trencka, trochę nawet i Martinuzziego. Można bez przesady powiedzieć, że państwo to było naprawdę wspólnem obu narodów, a oparte na silnej wspólnocie kulturalnej. I przedewszystkiem państwo to było! — Naród Zrińskich i Frangopanów trudno posądzać o brak wyrobienia politycznego — raczej należałoby to powiedzieć o Serbach, bo ostatecznie jedna bitwa wystarczyła, by ich wymazać na kilkaset lat z historji, a mając do wyboru rządy katolickiej Paleolożanki i pomagającego jej legata, woleli Turków i całkowitą zagładę już nietylko państwa, ale i narodu, sprowadzonego do poziomu samej chłopskiej „raji". Tymczasem Mohacs, tak jak Węgrów, nie unicestwił i Chorwatów — oba państwa, choć okaleczone, skazane na ciągłą walkę z Turkami i zagrożone germanizacją, przetrwały i ocaliły swe kultury. W czasie najkrwawszych walk tureckich w XVII wieku, kiedy to „muzy powinny milczeć", kwitnie, jak rzadko, literatura obu narodów i ukazują się nieśmiertelne epopeje: „Osman" Gundulića i „Syrena morza jadrańskiego" Piotra Zrińskiego oraz węgierskie: „Oblężenie Szigetu" Mikołaja Zrinyi, rodzonego brata Piotra i „Venus murańska" Gyöngyösiego.

Pod pewnym zresztą względem katastrofa mohacka okazała się nawet korzystną dla Chorwatów, a to rozluźniając ich związek z Węgrami, i dając ich państwu w austrjackiej rzeszy krajów i narodów miejsce całkiem odrębne, a dzięki znanej ich wierności dla dynastji, nieco forytowane. Równocześnie jednak to pewne wyemancypowanie Chorwacji w stosunku do Węgrów i jej stale prohabsburskie, „labanczowskie" nastawienie zerwało dawną jedność wspólnego państwa i rozdzieliło raz na zawsze oba narody. I wtedy zwolna rodzi się potrzeba Jugosławji.

Chodzi mi tu o to, że gdy wiek XIX, rozbudzając wszystkie uśpione narody, stworzył nowe pojęcie narodowości etnograficznej, tworząc cały szereg problematów i godząc potężnie w historyczne narody — mimowoli wprost dla Chorwatów powstało pytanie, czy tego ruchu nie wyzyskać dla wzmocnienia własnej narodowości. Z chwilą bowiem, gdy w odmiennej atmosferze romantycznych czasów stary ideał chorwacko-węgierski Zrinyich, uwidoczniony w ich braterskiej poezji, rozprysł się ostatecznie i ustąpił nowemu, reprezentowanemu tam przez Kossutha, a tu przez Jellaczica, nieliczni, i atakowani zewsząd Chorwaci, w poszukiwaniu niezbędnych sprzymierzeńców, po raz pierwszy w swojej historji zwrócili się do Serbów i powołali na ignorowane dotychczas braterstwo języka.

Było to typowo romantyczne i typowe dla tej filologicznej w polityce epoki, ale okazało się, że wspomniane pojęcie narodowości językowej, które dzisiaj przeszło nieraz poprostu w absurdalną manję separatyzmów i irredent, ma częstokroć tylko moc burzącą i choć potrafi jeden wielki, historyczny naród rozbić na parę i uszczuplić, to niezawsze potrafi z oddzielnych, historycznie wyrobionych, jednostek zrobić jakąś jedną nową — bo narody, to przedewszystkiem kategorje historyczne, a dopiero potem językowe. To też ruch illiryjski Gaja, choć odrodził i odmłodził samych Chorwatów, jako wielki ruch jugosłowiański zawiódł całkowicie i żadnego echa u Serbów nie znalazł.

Dzisiaj sytuacja niby jest inna — testament Gaja został wykonany. Wskrzeszony (teraz z kolei przez Serbów) illiryzm stworzył duże państwo, ale to państwo jest „illiryjskie" tylko z pozoru. Myśl jugosłowiańska, w której imię powołano je do życia, znowu zawodzi, i tak jak dawniej nie było narodu illiryjskiego, tak dziś niema jugosłowiańskiego — a w takim razie jaki los tego państwa?

Pytanie dręczące, bo w erze państw narodowych żadne państwo nienarodowe nie da się utrzymać, a skoro dziś jeszcze niema dostatecznych widoków na to, by Serbowie i Chorwaci przerobili się na jednolitych Jugosłowian — pytanie to staje się niemal tragiczne. Mówię niemal, ponieważ istnieje racja bytu tego państwa, skoro jego misja polega na łączeniu tego, co pod rozmaitemi względami będąc odrębne, ma jednakże pewną tendencję do luźnej choćby wspólnoty. A o ile węzły wzajemne Serbów i Chorwatów są dzisiaj zbyt nikłe, by dać rację bytu scentralizowanej Jugosławji, to jednak siła ich wystarczy do utrzymania dwoistego, czy troistego, a jednak trójjedynego królestwa Serbów, Chorwatów i Słoweńców.

KAROL STEFAN FRYCZ

WSPOMNIENIE O KSIĘDZU SZWEJNICU

Dnia 14 b. m. tysiączne rzesze mieszkańców Warszawy, w szczególności spośród młodzieży akademickiej, składały hołd pamięci zmarłego przed kilku tygodniami ks. Edwarda Szwejnica. Przyłączając się do tego hołdu, zamieszczamy niniejsze wspomnienie.

PRZEZ nikogo nie przewidywana śmierć w kwiecie wieku, nieodżałowanego, wyśmienitego kierownika i wychowawcy młodzieży warszawskiej, ś. p. księdza Edwarda Szwejnica wstrząsnęła nietylko najszerszemi kołami młodzieży, lecz i całem społeczeństwem. Ale nie wszyscy wiedzą, że zasługi Jego nie ograniczają się tylko do roli przewodnika młodzieży warszawskiej. Ksiądz Szwejnic posiada bardzo piękną kartę zasług, niż warszawskie wcześniejszych.

Byłem jednym z uczniów księdza Szwejnica z owych lat dawniejszych — i pragnąłbym się podzielić z jego uczniami późniejszymi wspomnieniem tych czasów.

Ksiądz Szwejnic — młodszy jeszcze naonczas, szczuplejszy, lecz tak samo męski i dojrzały, — był katechetą szkół polskich w Petersburgu. Ja byłem tylko rok jeden jego uczniem, — zjawiłem się w Petersburgu dopiero z wiosną roku 1917-go i uczęszczałem w roku szkolnym 1917/18 do klasy piątej gimnazjum Polskiej Macierzy Szkolnej przy Litiejnym Prospekcie. Ale ten krótki okres zostawił we mnie wspomnienie na całe życie.

Trudno sobie wyobrazić bardziej podniosłą i goręcej polską atmosferę, niż ta, która przenikała środowisko młodzieży polskiej w Petersburgu w latach rewolucji. Były to czasy, w których się żyło bardzo intensywnie. Z gwałtownością potoku górskiego przewalało się wokół nas życie rosyjskie. W tym jednym, krótkim okresie czasu ja sam miałem sposobność widzieć trzy krótkie, lecz burzliwe wojny domowe, rozegrane z całym skomplikowanym aparatem techniki wojennej: nieudane, lipcowe powstanie bolszewickie, nieudany, kontrrewolucyjny marsz na Petersburg generała Korniłowa i zwycięską, bolszewicką rewolucję październikową; prócz wojen — widzieliśmy i przeżywali wszystkie inne akcesorja rewolucji: rosnącą anarchję, przejawiającą się w niezliczonych, bestjalskich samosądach ulicznych i w rozwydrzeniu uzbrojonego, zalegającego ulice stolicy rosyjskiej tłumu dezerterów, propagandę, doprowadzającą tłumy do stanu istnego *delirium* i istnej zbiorowej hypnozy, rosnący, straszliwy głód miasta, odciętego przez rozstrój kolejnictwa i przez wojny domowe od prowincyj rolniczych na południu, położonego w okolicy, która sama niezbyt wiele, z przyczyny ostrego klimatu, produkuje, wreszcie zaczynający się terror. Z gwałtownością potoku górskiego płynęło otaczające nas życie polskie: pełne wysiłku próby tworzenia armji polskiej, rozbijane z jednej strony przez nielicznych, polskich bolszewików, z drugiej strony przez obóz Lednickiego i t. zw. „niepodległościowej" lewicy, otrzymującej *via* Sztokholm dyrektywy z kraju, — liczne, dotyczące armji zjazdy, zebrania, dyskusje, — to znów samorzutne wiece przed kościołami w niedzielę, gromadzące tysiące Polaków i pełne gwałtownych sporów między powodowanym zdrowym instynktem, narodowym ogółem, a „niepodległościowymi" i bolszewickimi agitatorami, już to w imię patrjotyzmu (legjony, oraz niepodległe, stojące po stronie Niemiec, utworzone aktem z 5 listopada państwo polskie, któremu emigracja nie ma prawa przeciwstawiać odmiennej polityki), to znów w imię interesu klasowego usiłującymi wybić temu ogółowi jego pogląd z głowy. A pozatem wieści z kraju, — m. in. mętne echo jakiegoś zatargu w legjonach. A potem jeszcze mętniejsze wieści z dalekiego Paryża o akcji Komitetu Narodowego, — zdawało się tak beznadziejnej wobec zwycięstw wojennych Niemiec. A wreszcie, również bardzo mgliste, bo przychodzące z poza frontów rosyjskiej wojny domowej, szczególnie dla nas bolesne wieści o likwidacji armji polskiej: naprzód, najwcześniej, Biełgorod, potem Kaniów, z którym splatała się bardzo niejasna wieść o Rarańczy, a wreszcie ka pitulacja Bobrujska.

I na tem tle ogólnem płynęło nasze życie osobiste, — nas, niedużego skupienia młodzieży polskiej w obcem mieście. Stanowiliśmy środowisko ogromnie niejednolite. Była między nami liczna, dawna emigracja zarobkowa, — przeważnie już napół wynarodowiona (choć były i chlubne wyjątki), lecz teraz, w gorących chwilach wojny i rewolucji odnajdująca w sobie swą polskość, — byli uchodźcy wojenni, przybyli do Rosji za ojcami, służącymi w wojsku, lub wraz z rodzicami, ewakuowanymi przymusowo, lub uszłymi ze względów politycznych przed Niemcami, lub wreszcie zbiegłymi przed działaniami wojennemi bez rozsądnego powodu, — byli wreszcie liczni chłopcy, zapełniający w Petersburgu kilka polskich burs, aresztowani przez władze rosyjskie w chwili ewakuacji, nieraz poprostu na ulicy i wywiezieni do Rosji jako podejrzani — najczęściej niesłusznie — o sprzyjanie galicyjskim legjonom. Było w Petersburgu — jeśli dobrze pamiętam — pięć gimnazjów polskich: dwa gimnazja (męskie i żeńskie) przy kościele św. Katarzyny, w założeniu nie polskie wprawdzie, lecz katolickie (z językiem wykładowym — prócz paru przedmiotów — rosyjskim), ale przez Polaków głównie zapełnione, przez Polaków kierowane i ożywione naogół duchem polskim, dalej gimnazjum męskie Polskiej Macierzy Szkolnej oraz dwie prywatne pensje żeńskie. Była więc nas — młodzieży polskiej — garstka względnie spora, choć tonąca w morzu dwumiljonowego miasta.

Tak jak intensywne było otaczające nas życie polityczne — tak intensywne było też nasze życie wewnętrzne. Kotłowały się śród nas różnorodne prądy i nastroje, — przeżywane niesłychanie mocno. Była śród nas garść komunistów. U nas, w piątej klasie, był jeden, nazwiskiem Śledź. Zwracało naszą uwagę, że na modlitwie przed lekcją nigdy się nie żegnał. Na lekcjach religji siedział ponury i wszczynał z księdzem Szwejnicem dyskusje. Niektórzy podejrzewali, że to był żyd — ale niesłusznie. To był Polak, tylko bolszewik. Opowiadał mi później ks. Szwejnic, że po wyjeździe z Petersburga, spotkał na ulicy w Mińsku (szedł, o ile pamiętam, w przebraniu) Śledzia z kilku naszymi bolszewikami z siódmej klasy. Zawahali się, zmieszani, jakby się chcieli ukłonić. Potem udali się do jakiejś restauracji i pijąc, odgrażali się księdzu Szwejnicowi i naradzali się nad tem,

jak zrobią na niego dziś w nocy obławę, aby go zaaresztować. Pełnili już oni wówczas funkcje jakichś dygnitarzy. Właściciel restaracji, Polak, usłyszał tę rozmowę przez cienką ścianę gabinetu, w którym ucztowali i ostrzegł ks. Szwejnica, który natychmiast uciekł z miasta i dłuższy czas ukrywał się (jeśli mnie pamięć nie myli) gdzieś w lasach. Dzięki temu uniknął rozstrzelania[1]).

Większość z nas jednak usposobiona była patrjotycznie po polsku. Tęsknota za krajem, którego wszyscy nie widzieliśmy już od lat kilku, a niektórzy nie widzieli nigdy, który odcięty był od nas tragiczną barjerą frontu, — uczucie wstrętu i pogardy dla ujawniającego wszystkie swe barbarzyńskie pierwiastki otoczenia, świadomość, że nam jest w Rosji źle — budziły w nas uczucie płomiennej miłości do kraju rodzinnego. Rodziło się w nas poczucie ogromnej różnicy cywilizacyjnej między nami a Rosją. Patrzeliśmy na tę Rosję zgóry, — z wielkiego dystansu[2]). Tkwiła w nas mocna duma narodowa. Wynikiem tej dumy było między innemi i to, że nasze szkoły funcjonowały nawet wówczas, gdy wszystkie szkoły rosyjskie oddawna już przestały działać: uważaliśmy, i nauczyciele i uczniowie, że nic nas anarchja rosyjska nie obchodzi, że musimy żyć życiem normalnem, tak, jakbyśmy byli w Polsce — i że potrafimy sobie to życie normalne zorganizować nawet wtedy, gdy Rosjanom wydaje się to niepodobieństwem. Warunki, w jakich pracowało polskie szkolnictwo, nie były łatwe. Nasze gimnazjum, z braku pieniędzy, gnieździło się w lokalu, poprostu nieprawdopodobnie ciasnym i pracowało na dwie zmiany (klasy ranne i wieczorne). Nie mieliśmy elektrycznego oświetlenia, — pierwsze ranne lekcje (dzień w zimie zaczyna się w Petersburgu gdzieś dopiero koło jedenastej) odbywały się przy małej lampce naftowej, oświetlającej tylko głowę profesora, — pozatem klasa tonęła w ciemności. Panował śród nas głód, — raz jeden z nauczycieli zasłabł nam z głodu na lekcji. Było zimno—w klasach był poprostu mróz. Siedzieliśmy w kożuchach i „szynelach", oraz wysokich kaloszach lub „walonkach". A i dojazd do szkoły nie był łatwy. Jechało się przez olbrzymie petersburskie przestrzenie tam i z powrotem, po nocy, w zimnie, w tłumie dezerterów, nieraz na buforach tramwajów — i czasem wracało się z pół drogi z powodu nowej fali walk ulicznych. Mimo to — uczyliśmy się i robiliśmy w nauce postępy.

Patrjotyzm naszego środowiska przejawił się między innemi i w tem, że starsi z nas poszli do korpusu Dowbora.

Przejawił się wreszcie we wspaniałym rozkwicie naszych organizacyj, wśród których najbardziej kwitnącą było — harcerstwo. Tak wartościowego harcerstwa, jak hufiec petersburski, nie widziałem nigdzie. Jeśli mam pozytywny pogląd na harcerstwo — to tylko dlatego, że widziałem dobry jego wzór w Petersburgu. Harcerstwo, które widziałem gdzieindziej, to było już całkiem co innego. Ale bo też całkiem inną metodą było ono prowadzone. Harcerstwo petersburskie nie miało niemal nic wspólnego z wzorami angielskiemi, — było nawskroś polskie. A zasługa w tem przedewszystkiem — księdza Szwejnica.

Rozpisałem się z rozmysłu obszerniej o tle petersburskiej działalności ks. Szwejnica, aby warunki tej działalności lepiej uwypuklić. Dusze nasze stanowiły wdzięczny materjał, — choć w naszej atmosferze zbiorowej wciąż toczył się bój między nastrojem patrjotyczno-religijnym, a szturmującym nas i walącym w nas niby taran wpływem odurzającego nastroju bolszewickiej rewolucji. Ale uprawa naszych dusz wymagała ogromnego napięcia, — na to, żeby się stać naszą duchową podporą, trzeba było mieć bardzo mocne nerwy, mocną wiarę w swoją ideję, w nas i w swoje siły, wiele równowagi i zimnej krwi, wiele entuzjazmu i optymizmu, zdolnego przełamać wciąż w nas — zwłaszcza w niektórych z nas — zasiewane pierwiastki ponurego, pełnego nienawiści nastroju rewolucyjnego.

Ksiądz Szwejnic potrafił wszystkim tym trudnościom sprostać w sposób wspaniały. Mniejsza, że prowadzone przezeń lekcje religji były tak jasne, tak ciekawe, tak pogłębiające wiarę i gruntujące ją na podstawach zarówno rozumu jak uczucia, że i dziś jeszcze, po szesnastu zgórą latach, myśl do nich nieraz powraca i że w niemałej mierze opierają się na nich dzisiejsze nasze poglądy religijne. Mniejsza, że prowadzone przez niego — w kościele Maltańskim przy ulicy Sadowej — rekolekcje były tak samo porywające i krzepiące, jak później w kościele św. Anny w Warszawie. Mniejsza, że w działalności swojej dążył on do pogłębienia nietylko wiary, lecz i uczuć narodowych. To wszystko byłoby możliwe również i w innym czasie i w innych warunkach.

Ale ksiądz Szwejnic potrafił być naszą podporą śród niweczących nasz spokój burz rewolucyjnego i wojennego okresu. Podporą tak mocną, że pozostał nią i na później. Jako ludzie dorośli, pozostaliśmy nadal jego stałą klijentelą, — nieraz oczekując w jego poczekalni na Krakowskiem Przedmieściu swej kolejki śród pracowitego jego porządku dnia, aby zasięgnąć jego rady w rozmaitych sprawach. Wielu z nas może o sobie powiedzieć, że jeśli są katolikami i narodowcami, — jeśli rewolucja rosyjska nie posiała w ich duszach ziarna rewolucyjnego, nihilistycznego fermentu, ani nie wywołała w nich procesów gnilnych w dziedzinie moralnej, oraz w dziedzinie myśli filozoficznej, religijnej, politycznej, społecznej, lecz przeciwnie, stała się ogniem, tem silniej narodowy i katolicki rdzeń duszy hartującym, — to zasługa to w niemałej mierze księdza Szwejnica.

---

[1]) Miałem prócz Śledzia jeszcze drugiego bliskiego kolegę-bolszewika. Nazywał się Steckiewicz. Nie uczęszczał on do gimnazjum Macierzy — znałem go z harcerstwa. Kiedy go znałem, był to dobry Polak, bez cienia bolszewickich sympatyj. Prowadziliśmy we dwu pluton harcerski młodzieży robotniczej, — oczywiście, prowadziliśmy w duchu patrjotycznie polskim. Raz zdarzyło nam się, że byliśmy obaj aresztowani w tramwaju przez agenta czrezwyczajki (po raz pierwszy dowiedziałem się wówczas o istnieniu tej instytucji), ale gdy nas prowadził ulicą, uciekliśmy mu, w biegu do tramwaju wskakując. Później, gdy większość z nas z Petersburga wyjechała, został on hufcowym hufca harcerskiego, a zarazem komendantem placu P. O. W. Został wreszcie aresztowany — i po kilku miesiącach pobytu w więzieniu zupełnie się zmienił. Został czynnym bolszewikiem. Był później podobno dygnitarzem sowieckiego wywiadu w Kownie.

[2]) Opowiadał mi przed kilku laty pewien profesor ze starszej generacji, radykał i piłsudczyk, że będąc ongiś w Petersburgu, czuł, jak wszyscy patrzą się na niego, jako na Polaka, zgóry — i że on mimowoli poddawał się temu uczuciu niższości. Może tu leży przyczyna tej irracjonalnej, buntowniczej nienawiści do Rosji, znacznie u niektórych ludzi w Polsce przewyższającej uczucie miłości do Polski. Mnie te słowa uderzyły, jako coś zupełnie nowego, czego możliwości przedtem nawet nie podejrzewałem: będąc w Rosji, zawsze patrzałem na Rosjan zgóry, —jak Europejczyk na tubylców.

Wspomniałem wyżej o petersburskiem harcerstwie. Ksiądz Szwejnic był jego kapelanem i jednym z jego najgorliwszych i najgorętszych organizatorów. Harcerstwo petersburskie było poprostu wzorem organizacji młodzieży, — trudno znaleźć inne środowisko wychowawcze o równie wysokim tonie i nastroju. O ile wiem (choć sam tam nie byłem), podobny był nastrój we współczesnem harcerstwie polskiem na Ukrainie. Harcerstwo w kraju nigdy podobnie wysokiego tonu nie miało. Oczywiście, środowiska ukraińskie też zapewne komuś (prócz analogicznych warunków zewnętrznych) poziom swój zawdzięczają. Jeśli jednak chodzi o hufiec petersburski, to zawdzięczał on go ks. Szwejnicowi.

Pamiętam, gdy — gdzieś około roku 1920 czy 1921 — po raz pierwszy odwiedziłem ks. Szwejnica w Warszawie, zapytałem go, czy weźmie się tu do pracy harcerskiej. Odpowiedział mi twardo, że nie. Zapytałem: dlaczego. Usłyszałem, jako odpowiedź, że kierunek harcerstwa w Polsce uważa za zły. Oparło się ono ściśle o wzory angielskie — podczas gdy nie są to wzory pod każdym względem właściwe. „To są rabiny" — mówił, mając zresztą na myśli nietylko działaczy krajowych, lecz także i niektórych, wymienionych z nazwiska, działaczy harcerskich z Kijowa, — „zatopili się w dziełach Baden-Powella, jak w Talmudzie". W harcerstwie, będącem ścisłą kopją skautingu angielskiego, nie widział dla siebie pola do pracy. Nie zrozumiałem wówczas — byłem wtedy bodaj w ósmej klasie — przenikliwej trafności jego na harcerstwo poglądu. Dzisiaj, po latach — po wieloletnim okresie pracy w harcerstwie i wielu w tej dziedzinie doświadczeniach — widzę, jak dalece ksiądz Szwejnic miał rację.

Ksiądz Szwejnic był wielkim człowiekiem. Pióro moje jest nieudolne. Aby dać jego charakterystykę — próbowałem podać nieco faktów. Gdy je ponownie teraz odczytuję, widzę, że wypadły blado i błaho. Ale bo też wielkość tej duszy, granicząca z świętością, przejawiła się nie w wielkich, namacalnych faktach, ale w tonie życia i tonie działalności. Trzeba było to życie i tę działalność znać — aby je ocenić.

Gdyby przypadek losu pozwolił księdzu Szwejnicowi żyć dłużej, gdyby postawił go na innym szczeblu hierarchji społecznej i kościelnej, oraz w innych życiowych okolicznościach, to mielibyśmy w nim z pewnością postać na miarę jakiegoś kardynała Mercier'a.

Los sprawił inaczej. Ksiądz Szwejnic umarł, nie osiągnąwszy lat pięćdziesięciu. Tak chciała wola Opatrzności. Nie wolno Jej krytykować.

Ale żal po Zmarłym jest poprostu niewypowiedziany.

JĘDRZEJ GIERTYCH

DZIEDZICZNOŚĆ

(Ciąg dalszy)

W NASZYM przykładzie, któryśmy sobie tutaj wybrali, zajdzie oczywiście zmiana, jeżeli gen jednej z odmian, wziętych do krzyżówki, będzie górował (dominował) nad działaniem odpowiadającego mu (t. j. allelomorficznego) genu drugiej odmiany. Niech, naprzykład, gen „cerwony" dominuje nad genem „białym". Otrzymamy wtedy pierwsze pokolenie mieszańców F_1 również jednolite, ale, wskutek dominowania genu „czerwonego" (a więc i wywołanej przez niego cechy) nad „białym", będzie to pokolenie czerwone, zupełnie takie, sądząc z zewnętrznego wyglądu, jak jeden z rodziców. Widzimy tu bardzo jaskrawo (o czem już wyżej wspominałem), że f e n o t y p, czyli zewnętrzny wygląd osobnika, może się nie zgadzać z g e n o t y p e m, czyli wyposażeniem danego organizmu w geny. W danym przypadku organizm mieszańca F_1 będzie miał geny tak „czerwone" jak i „białe"; fenotyp zaś jego będzie wyłącznie czerwony. Widzimy tu, że fenotyp jest uzależniony od wewnętrznej gry między działalnościami poszczególnych genów. Tworzy się on jako wynik tej gry i może nam na pierwszy rzut oka nic nie mówić o rzeczywistym składzie genetycznym danego organizmu.

Jak się zachowa to jednolicie czerwone pokolenie F_1 jeżeli będziemy krzyżować między sobą osobniki doń należące? Na podstawie poprzednich rozumowań łatwo dojdziemy do wniosku, że zasadniczy wynik będzie taki sam jak w poprzedniej krzyżówce, tylko stosunek osobników o czerwonych kwiatach do osobników o białych kwiatach będzie inny: 75% osobników drugiego pokolenia F_2 będzie miał kwiaty czerwone a 25% — białe. Różowych wcale nie będzie. Różnica ta jest wywołana dominacją u mieszańców genu „czerwonego" nad „białym" i wskutek tego, fenotypowo rzecz biorąc, do osobników czystej rasy czerwonej, które i tu będziemy mieli i które, zgodnie z poprzedniem rozumowaniem, stanowić będą 25% ogółu pokolenia F_2, dołączyć jeszcze trzeba, nie różniące się od nich fenotypowo, wszystkie mieszańce, które będą stanowiły 50% ogółu pokolenia F_2 (w poprzednim przykładzie stanowiły one kategorję osobników różowych).

Zmiana ta w niczem jednak nie narusza zasadniczego prawa Mendla, które, przypominam to raz jeszcze w krótkości, orzeka, że cechy dziedziczne przenoszone są z osobnika na osobnik za pomocą genów, które u mieszańca nie zlewają się z sobą, zachowują swoją indywidualność, przy tworzeniu (dojrzewaniu) zaś komórek płciowych rozdzielają się, wchodząc każdy w skład innej gamety. Dalszy los osobników, powstałych z krzyżówki, uzależniony jest od swobodnej kombinacji tych genów, idącej w parze ze swobodną kombinacją gamet, z których każda niesie w sobie jeden tylko gen z danej pary odpowiadających sobie czynników dziedzicznych.

W naszym drugim przykładzie wśród osobników o kwiatach czerwonych znajdowały się, jak widzieliśmy, osobniki, mające dwa jednakowe geny „czerwone" i osobniki, mające „białe", i „czerwone" geny. Pierwsza kategorja osobników będzie, jak mówią genetycy, h o m o z y g o t y c z n a pod względem ubarwienia kwiatów i będzie tak pod względem wyposażenia dziedzicznego (genotypu) jak i wyglądu zewnętrznego (fenotypu) zu-

pełnie podobna do jednego z dziadków. (Homozygotami będą oczywiście również wszystkie osobniki o białych kwiatach, muszą one bowiem zawierać dwa jednakowe geny „białe"). Druga kategorja osobników o kwiatach czerwonych, osobników zawierających geny „białe" i geny „czerwone" będzie heterozygotyczna i tylko zewnętrznym swym wyglądem (fenotypem) będzie podobna do czerwonego dziadka. Ich wyposażenie dziedziczne (genotyp) będzie różne od genotypu tego czerwonego dziadka, który przecież był homozygotyczny i zawierał dwa jednakowe geny „czerwone". W jaki sposób możemy się przekonać, z którą z tych dwu kategoryj mamy do czynienia, skoro ich wygląd zewnętrzny jest identyczny? Odpowiedź na to pytanie może nam dać tylko krzyżówka takiego czerwonego osobnika z formą, będącą homozygotą w stosunku do cechy ustępującej, a więc, w naszym przykładzie, z formą o kwiatach białych, identyczną z jedną z form, wziętych na samym początku do krzyżówki. Osobnik czerwony homozygotyczny, mając dwa jednakowe „czerwone" geny, będzie produkował gamety, zawierające jedynie gen „czerwony". Skrzyżowany z osobnikiem homozygotycznym pod względem cechy białej, produkującym gamety, zawierające tylko „białe" geny, da oczywiście jednolite potomstwo mieszańców, w zupełności odpowiadające pokoleniu F_1, któreśmy już rozpatrzyli. Natomiast osobnik czerwony heterozygotyczny, mając w swem ciele gen „czerwony" i gen „biały", będzie produkował 50% gamet, zawierających gen „czerwony" i 50% gamet z genem „białym". Skrzyżowany z homozygotycznym osobnikiem z genem recesywnym „białym" da nam, jak to łatwo zrozumieć, 50% osobników homozygotycznych „białych" i 50% osobników heterozygotycznych czerwonych, odpowiadających w zupełności pierwszemu pokoleniu mieszkańców F_1.

Wynik ten możemy uogólnić na każdą krzyżówkę formy heterozygotycznej z homozygotyczną: zawsze otrzymamy przy takich krzyżówkach potomstwo w 50% heterozygotyczne i w 50% homozygotyczne (czystej rasy).

Tak więc rezultat krzyżówki daje nam odpowiedź na to, jak mamy się zapatrywać na konstytucję dziedziczną osobników pokolenia F_2, mającą jednakowy fenotyp: jeżeli taki osobnik, po skrzyżowaniu z formą homozygotyczną pod względem genu ustępującego, daje jednolite potomstwo mieszańców, to będzie on homozygotyczny, jeżeli zaś potomstwo to wykaże rozszczepienie cech w sposób wyżej opisany, to znaczy, że osobnik ten był heterozygotyczny.

Rozważyliśmy dotąd przypadek dość prosty, gdzie mieliśmy do czynienia z jedną tylko parą cech. Ale jak się rzecz będzie miała, jeżeli do krzyżówki weźmiemy osobniki, różniące się dwiema cechami t. j. jeżeli będziemy mieli dwie pary cech, odpowiadających sobie (allelomorficznych)? Możemy, naprzykład, wyobrazić sobie osobniki, różniące się nietylko barwą kwiatów, ale również wysokością, lub, u zwierząt, barwą oczu i długością sierści i t. p. Będziemy mieli w każdym z tych przykładów dwie pary allelomorficzne:

barwa czerwona—barwa biała; niski osobnik—wysoki osobnik, lub ciemna barwa oczu — jasna barwa oczu; długa sierść — krótka sierść. Otóż okazuje się, że każda cecha (a więc i gen, wywołujący tę cechę), wchodząca w skład jednej pary allelomorficznej może się kombinować z każdą z cech (genem), wchodzącą w skład drugiej pary allelomorficznej. Naprzykład: barwa czerwona może wystąpić wspólnie z niskim wzrostem lub też z wysokim; ciemna barwa oczu — z długą sierścią lub z krótką i t. p. Kombinacje te zwiększają, oczywiście, różnorodność pokolenia F_2, gdzie wystąpi więcej typów, niż przy jednej parze allelomorfów. Mieszańce, otrzymane przez krzyżówkę osobników, różniących się dwiema parami cech, nazywają się dihybrydami w odróżnieniu od mieszańców, pochodzących z krzyżówki osobników, różniących się tylko jedną parą cech, które noszą nazwę monohybrydów. Oczywiście, osobniki, krzyżujące się, mogą różnić się więcej niż dwiema parami cech (polyhybrydy), rozważania jednak, tyczące się wyników takich krzyżówek, w niczem nie zmieniają zasady, przyjętej dla dihybrydów.

Niezależność rekombinacyj cech przy krzyżowaniu osobników, różniących się więcej niż jedną parą cech, nie zawsze jednak występuje. Powszechnie znane są przypadki, kiedy jakaś cecha występuje zawsze wspólnie z drugą, kiedy jest, jak mówią genetycy, z nią sprzężona.

Występują nawet całe grupy cech, dziedziczących się społem. Według obserwacyj Darwina, naprzykład, koty o białej sierści i niebieskich oczach są zwykle głuche i mają nienormalne zęby; cechy te są z sobą sprzężone. Przykładów na to znajdujemy w literaturze przyrodniczej bardzo dużo. Dlaczego się tak dzieje i czem jest to uwarunkowane, zobaczymy z toku dalszych naszych rozważań, gdy będziemy się zastanawiać nad tem, gdzie się mieszczą w komórce, roślinnej czy zwierzęcej, te materjalne zawiązki cech dziedzicznych, czyli geny. O tem jednak później.

Jeszcze parę słów uzupełnienia.

Nie należy sądzić, że zawsze każdej cesze jakiegoś organizmu odpowiada jeden gen. Uzewnętrznienie jakiejś cechy może być uzależnione od wzajemnego ustosunkowania się działalności wielu genów i, odwrotnie, jeden gen może wywierać wpływ na kilka cech. Na zewnętrzny wygląd organizmu, czyli na jego fenotyp, nie należy się zapatrywać jako na wynik działania niezależnych od siebie czynników dziedzicznych, czyli genów, których jest tyle, ile możemy wyróżnić cech w danym organiźmie, ale raczej jako na wynik gry pomiędzy zawartemi w jego komórkach genami. Od należytego wzajemnego ustosunkowania się działalności genów uzależnione są niejednokrotnie takie ważne cechy organizmu jak naprzykład płodność, lub zdolność do życia.

Jakież z tych naszych rozważań wyciągnąć możemy wnioski dla stosunków ludzkich?

Jeżeli przez małżeństwa mieszane dwojga ludzi, należących do dwu różnych ras ludzkich, otrzymamy mieszańca, to w mieszańcu tym w rozmaity sposób ujawnić się mogą cechy jednej lub drugiej rasy. Uzależnione to jest od tego, które cechy dominują, a które ustępują. Mieszaniec ten, w przypadku dominacji pewnych cech jednej z ras, może, pod względem tych cech, zupełnie upodobnić się do jednego z rodziców i, zewnętrznie rzecz biorąc, niczem nie zdradzać mieszanego swego pochodzenia.

Mieszaniec, naprzykład, powstały z małżeństwa aryjczyka z semitką (lub odwrotnie), może zewnętrznie mieć typ, nie zdradzający tej domieszki semickiej, która się w nim znajduje, i mo-

że zbliżać się swym zewnętrznym wyglądem do typu aryjskiego. Zewnętrzny ten typ aryjski będzie się nawet mógł utrzymywać w jego pokoleniu, pod warunkiem jednak wstępowania w związki małżeńskie z osobnikami, należącemi do czystej rasy aryjskiej. W tym bowiem tylko przypadku genom „semickim" będą zawsze towarzyszyły geny „aryjskie", które mogą nie pozwolić na ujawnienie się genów „semickich".

Przy tych krzyżówkach mogą oczywiście, w myśl tego, cośmy mówili o krzyżówkach heterozygoty z homozygotą, powstać również typy, będące pod względem niektórych cech typami, odpowiadającemi czystej rasie aryjskiej.

Z chwilą jednak, gdy taki mieszaniec „aryjsko-semicki" wejdzie w związki małżeńskie z osobnikiem, również mieszanym „aryjsko-semickim" (a tembardziej, oczywiście, gdy się połączy z osobnikiem czystej rasy semickiej), to w jego potomstwie nastąpi rozszczepienie, prowadzące do tego, że, w każdym razie dla niektórych cech, otrzymamy osobniki, odpowiadające czystej rasie semickiej. Otrzymamy, oczywiście, również, zgodnie z prawem Mendla, osobniki o typie mieszanym i, w przypadku krzyżówki mieszańca z mieszańcem, osobniki, pod względem niektórych cech, odpowiadające czystej rasie aryjskiej. Ważne jednak to, iż przy tego rodzaju krzyżówkach, zawsze będziemy musieli się spodziewać, że, jak mówią genetycy, wymendlują nam niektóre cechy czysto semickie i to w ten sposób, że pod względem tych cech, osobnicy, zawierający je, będą odpowiadali w zupełności czystej rasie semickiej. Wspominam tu o możliwości wymendlowania tylko niektórych cech, bo gdy mamy do czynienia z bardzo dużą ilością cech i grup cech, rekombinujących się niezależnie jedne od drugich, jak to omówiliśmy przy opisywaniu praw Mendla, to mało jest prawdopodobne, żeby w s z y s t k i e cechy jakiejś jednej rasy rozszczepiły się od w s z y s t k i c h cech drugiej rasy, by potem, przy następnej krzyżówce, spotkawszy się z pełnym garniturem cech odpowiedniej sobie rasy, utworzyć w ten sposób całkowicie czystą rasę t. j. czystą pod względem absolutnie wszystkich cech. Reasumując, zaznaczyć muszę z całym naciskiem, że geny „semickie" raz wniesione do jakiegoś pokolenia, mogą przetrwać bez zmiany, że się tak wyrażę „w ukryciu", przez bardzo wiele pokoleń następnych, by uzewnętrznić się raptem w którem, nawet bardzo oddalonem pokoleniu z chwilą, gdy spotkają się z odpowiadającemi im genami, będącemi również pochodzenia semickiego.

(Dok. nast.) GOZDAWA

W DNIACH WYBUCHU WIELKIEJ WOJNY

(ZE STARYCH ZAPISEK)

Kraków, 3 sierpnia 1914 r. (w nocy):

NIEZAPOMNIANY DZIEŃ. Przedwczoraj popołudniu, na wiadomość o ogólnej mobilizacji austrjackiej, wyjechałem z Zakopanego. Pociąg pośpieszny odszedł pierwszy, naładowany po brzegi, osobliwie królewiakami, którzy uciekali spłoszeni. Na kolei spotkałem G. Ch., który przyjechał był z Warszawy do żony i doniósł mi o dwunastogodzinnem *ultimatum*, wystosowanem przez Niemcy do Rosji.

W moim przedziale panował *Galgenhumor:* w Szaflarach wsiadł w pełnym mundurze Jerzy U., porucznik dragonów i, razem z malarzem ze Lwowa, Jarockim, wnosili nutę zadziwiającej nieco beztroski. Jarocki opowiadał między innemi, że w Poroninie siedzi kolonja rewolucjonistów rosyjskich, protegowana przez rząd austrjacki i że tworzą oni rodzaj sztabu z byłym docentem uniwersytetu petersburskiego (?) Uljanowem na czele, sztabu, który się nieustannie znosi telegraficznie z paryską centralą.

Na stacjach pełno było rezerwistów, koni i t. d. Scen rozdzierających nie zauważyłem. Rezerwiści nucili tęsknie, a nietrzeźwo: „Gospodarzu już ci czas" i t. p. Zapychali klasy trzecie, korytarze pierwszych i t. d.

W wagonie toczyła się ożywiona rozmowa. Eskontowano szanse zbliżającej się wojny, odtwarzano sobie retrospektywnie możliwe jej antecedensa, żartowano i zastanawiano się nad własnym losem. Czasu na to wszystko było dosyć, bo pociąg szedł do Krakowa około dziewięciu godzin, a stawał na stacjach po dwadzieścia minut.

Nareszcie dobiliśmy do Krakowa. Wsiadłem z U. do z trudem znalezionej dorożki i, za z trudem zmienione pieniądze, pojechaliśmy najpierw zameldować go do komendy korpuśnej na ulicę Grodzką. Była godzina druga w nocy, czas piękny, księżycowy: stary Kraków wspaniale prezentował swoje uroczyste kontury. Ruch na ulicach był mały: stało trochę podwód, trochę pijanych włóczyło się rezerwistów. Niebawem poszliśmy do mnie wyspać się przed dniem, który dla mnie przynajmniej obfitował w moc różnorakich wrażeń.

Ten pamiętny dzień 2-go sierpnia rozpocząłem, a raczej rozpocząć chciałem od pożegnania z przyjacielem Tadeuszem W., wezwanym do 2-go pułku ułanów w Tarnowie. Wyjechał był w przeddzień wieczorem. Od niego udałem się do rodziny, która mi doniosła nieco szczegółów o mobilizacji, o ochotnikach, o „orjentacjach klubowych", o moim koledze Hieronimie T., który, w trzy tygodnie po ślubie, powołany został na plac boju, o wiadomościach z Warszawy, z Wiednia — od mojego stryja, wiceministra dla Galicji i t. d.

Stamtąd wpadłem do redakcji „Czasu". Zastałem Jaworskiego, Starzewskiego, Noskowskiego i Maćkowskiego. Miny mieli nad wyraz poważne. Jaworski wracał z narady politycznej i referował sytuację zagraniczną i wewnętrzną. Kładł nacisk na rzekomem pozyskaniu przez trójprzymierze Rumunji, ważnego centrum aprowizacyjnego, i Szwecji. Akcentował dalej dokonane zjednoczenie się wszystkich organizacyj militarnych polskich i toczące się ich układy z wojskiem, które miało się zobowiązać dostarczyć im komendantów rezerwowych, a przez to prawa być uważanymi za kombatantów, jeżeli oni zobowiążą się wzamian do

wspólnych i łącznych z armją działań. Twierdził, że Berchtold chce powstania w Królestwie i wydawał się robić co do tego stanowcze zastrzeżenia (czy je robił także na poprzedniej konferencji?), podnosząc równocześnie, że ich nie robią niektórzy inni politycy polscy. Wreszcie zapowiadał możliwy terror żywiołów skrajnych przeciwko „moskalofilom".

Ojca zastałem w najprzykrzejszym stanie nerwów. Radziłem mu jechać do Wiednia, do brata, bojąc się zrazu, pod wpływem ostatnich słów Jaworskiego, o jego bezpieczeństwo osobiste; resztę rodziny pragnąłem wyekspedjować do Zakopanego (słysząc gdzieniegdzie, że Kraków nie będzie dobrem schroniskiem), ale oparła się temu najstarsza z niej, sparaliżowana. Zapomniałem dodać, że w chwili, gdy wychodziłem z redakcji (o 1-ej w południe), przyszła tam wiadomość, że wojna niemiecko-rosyjska wybuchła.

Od rodziny (gdzie zjadłem był obiad) poszedłem wraz z ojcem do „Resursy", domniemanego siedliska austrjacko - polskich „hurrapatrjotów". Spotkałem tam Ludwika Ż., Jerzego P. z Łańcuta i Wojciecha Kossaka w mundurach ochotników automobilowych; komisarza starostwa Tch., przemęczonego długotrwałą kontrolą telegramów prywatnych; Stanisława J., który świeżo powrócił był z Paryża; Władysława i Jerzego Mycielskich. Ten ostatni opowiedział mi, że za pośrednictwem jednego ze swoich uczniów, który jest w „Strzelcach", ułatwił porozumienie tychże „Strzelców" z wojskowością, którego szczegóły podałem wyżej. Ze strony wojskowości działać miał w tym względzie jenerał Rozwadowski...

Ulica Wolska przed klubem roiła się głównie od „Strzelców"; pobliskie „Groble" zalegał tłum wozów i koni; w magistracie wciąż meldowali się rezerwiści... Atmosfera w mieście bardzo była zgorączkowana wybuchem wojny. Rozchodziły się wieści o utarczkach pod Chrzanowem i na granicy Księstwa i Królestwa; o rzezi, rabunku i pożarze, które sprawili ustępujący kozacy w Częstochowie; o wkroczeniu Prusaków do Królestwa; o rewolucji socjalnej w Paryżu i zamordowaniu Poincaré'go. Wpadłem w grono przyjaciół, z którymi omawiało się te plotki. Rudolf Starzewski wyłożył mi, stanowisko zajęte przez „Czas". Tak zeszła część popołudnia.

Przechodząc koło mojego domu, widziałem kompanję, idącą z muzyką, podobno na plac boju, do której gawiedź krzyczała „Niech żyje Polska!" Ruch na ulicach pod wieczór wzmógł się kolosalnie, zwłaszcza pieszy, zresztą kursowały przeważnie automobile wojskowe.

Wieczór spędziłem z moim przyjacielem Józefem M., który także u mnie nocował. Komentowaliśmy razem wybuch wojny, niewątpliwą prowokację niemiecką, równą depeszy emskiej Bismarcka z roku 1870. Informowaliśmy się w redakcji „Czasu" o domniemanym wymarszu „Strzelca" z Krakowa i nowych, szczupłych wieściach z placu boju. Dowiadywaliśmy się dalej o zamianie „pałacu pod Baranami" na szpital wojskowy, o przyjeździe Ludwika Morsztyna z nad opustoszałej granicy rosyjskiej i t. p. lokalnych sprawkach.

Dzień przeszedł jak błyskawica, nacechowany podwójnym tragizmem: boleści ludzkiej i dezorjentacji polskiej, jeden z największych w dotychczasowych dziejach świata.

P. S. Z poważnej strony słyszałem horoskop, że w razie zwycięstwa i hegemonji niemiecko-madziarskiej w Austrji, z naszą autonomją będzie krucho; dalej — że wrazie wmieszania się Anglji, wojna zamieni się na wojnę „na wytrzymałość brzuchów"; że — nastąpi prawdopodobnie rozbiór Rosji; że — Ameryka wyssie wszystkie europejskie pieniądze; że — Włochy targują się o Walonę, względnie o Tunis i Algier i t. d. Oto plotki.

Zakopane, 4 sierpnia 1914 r.

Wczoraj rano ruch był w Krakowie fenomenalny, a jego cechą, przy dniu powszednim, poniedziałku, run aprowizacyjny. Z trudem wywalczyłem coś z prowiantów. U „Hawełki" spotkałem dwóch Potockich z Łańcuta: ułana i automobilistę. Serdeczny *shake-hand* ze starszym Alfredem, którego znam mało, ale dziś hasłem Krakowa jest: *égalité, fraternité*. Jest także run na drobne, które się gdzieś zagubiły w tem zamieszaniu: *de facto* 10 koron przedstawia większą wartość doraźną od tysiąca. Na Sławkowskiej spotykam Ludwika Morsztyna i Emanuela Pusłowskiego w automobilu. Nelo[1]) rzuca mi w twarz nową formułę orjentacyjną dla Polaków: „całą siłą za Austrją, możliwie cicho w Królestwie!" Ludwiś referuje pogłoskę, że car, *in der zwölften Stunde*, dał Królestwu konstytucję z roku 1815, na co mu Ludwik Puszet proponował odpowiedzieć: *Sire, point de rêveries!* Niebawem adwokat N., do którego miałem interes, dorzuca nową wersję, że... Włochy wypowiedziały wojnę Austrji. Wychodzę jako tako z *run*'u co do gotówki (500 koron zdobywam). Zasięgam ostatniego języka w „Czasie" (gdzie się dowiaduję o bombardowaniu Libawy i pojawieniu się w Niemczech aeroplanów francuskich), wpadam pożegnać się z rodziną, na chwilę do biskupa Sapiehy z missywą od jego matki w Zakopanem i — wśród niebywałego ścisku ludzi i ruchu pociągów — wyjeżdżam do Zakopanego. Na kolei łapie mnie Luc Bochenek[2]), jadący z Bonn i opowiada mi straszne rzeczy o orgji antypolskiej, jaka się objawia wśród tłumów niemieckich[3]). Inżynier L. informuje, że widział wczoraj od siebie (mieszka na granicy) duże łuny nad Królestwem.

Dobijam na miejsce o północy i, na przywitanie, meldują mi w zakładzie Chramca, że portjera wzięli jako szpiega.

Dziś od rana, mało bardzo spawszy, chodzę za informacjami... Popołudniu przyjeżdża trzema autami Leo, odwożący rodzinę. Mówi mi, że o wojnie dowiedział się na dwa dni przed ogłoszeniem mobilizacji; przypuszcza, że ruchy armji austrjackiej (zapewne w stronę Podola) zaczną się koło 12-go...

KAZIMIERZ MARJAN MORAWSKI

---

[1]) Zginął w Małopolsce wschodniej w kontrofensywie austrjackiej po „Gorlicach".

[2]) Zginął podczas rozruchów krakowskich 6 listopada 1923 r.

[3]) 6-go sierpnia notuję w związku z tą rozmową: „Ironja położenia: Kilka dni temu mówił mi jeden z moich przyjaciół: „Przyjechałem tu, choć mogłem schronić się do spokojnej Belgji".

LUTNIA ZIEMIEŃSKA

TOWARZYSZ-LUTNISTA

Kazimierzowi J. Jodzewiczowi

POPAS

Kuchta, nosa utarłszy, jagły miesza w kotle,
że to post, więc z bukłaka skąpo cedzi olej.
— Ejże, psiawiaro, kuchto, przypatrz-że się miotle:
weźmiesz w łeb, jakem szlachcic, albo jeszcze dolej!

Nie poto-m przez dwie doby gnał, ściskając zęby,
o głodzie i o chłodzie, przez bory i lasy,
byś, czartowskie nasienie, szczędził mojej gęby,
wydziwiał i żałował tej trochę okrasy.

Zły-m jest?! Bo w brzuchu pusto. Z przyrodzenia, juścić
Dawaj krup, a kopiasto. Nie będziemy w kłótni.
— Uf! setnie se podjadłem. Trza pasa popuścić.
— Panowie towarzystwo: zagram wam na lutni! —

NA LUTNI

— „Wejrzyj. boża opieko! toż mój dom daleko! —
— ...lipy szumiały, szumem żołnierza wołały!... —
...Nad tą modrą, nad rzeką, nad jasną pasieką,
nad wzgóreczkiem niemałym, nad sadem, nad białym!...

„Tęskność z duszy wyplątam, na struny naplątam,
myśl leci, obaczy, gdy nie można inaczej: —
tam matka się krząta, dreptu z kąta do kąta:
— Miałam sen... Bóg raczy jeden wiedzieć, co znaczy...

— „Nów ten sam na niebie świeci dla mnie, dla ciebie,
a przy nim — łza w oku, świeci gwiazda z obłoku!...
...Dość, lutni! cichaj, śpiewie!.. Koń kopytem grzebie...
— już się serce uspokój, w bój mocą się okuj!"

POCHÓD

Wyga husarz szkaplerza szuka poomacku,
drzymie dragon, cholewy w końskie wparłszy żebra,
wolentarze pomstują z ruska po sarmacku
na ziąb i na ten potop, co chlusta, jak z cebra!

Ni brząknąć, ni zagadać. Nic tu po Bekwarku!
Komu bo do gawędy dziś ochota w głowie,
gdy człek godziny nie wie, wroga ma na karku,
kiedy deszcz za kołnierzem, a w piszczelach mrowie.

Koła harmatnie w błocku ugrzęzły po osie,
namiestnik klnie, wysyła ciurów do pioruna!
Deszcz minął. Księżyc wschodzi. — Wasze, przypatrz-no się,
zali przed nami zorza?
Łuna! łuna! łuna!

BITWA

Właśnie o strzemię brzęknął koncerz błękitnawy,
warknął obuch, buńczuczna rozwiała się kita,
pochyliły się kopje: z pod pańskiej buławy
dwie husarskie chorągwie ruszyły z kopyta.

Czerń, wyległą przed szaniec, rozszczepiły klinem,
ogarnęły żelazem i zmiotły ze wzgórza,
i zwarły się na mgnienie z rzezanym Turczynem
i, zatoczywszy koło, w tabor szły, jak burza!

...Mazur wraca do kupy, niedobitków łuszczy,
kraśny dragon hultajstwo pierzchające kąsa.
— Tabor wzięt! — Krwawa pełnia wypływa z nad puszczy...
Pan hetman zapiął delję i pokręcił wąsa.

MOGIŁY

— Pośpiejem, braciaszkowie, nim zorzę mrok spłoszy.
Już i jar... Krzyże widno?... To my i u mogił:
...Leży tu putny bojar, tu kilku Wołoszy,
tu mazury, tu Litwa, tam hajdamak srogi.

— Patrzaj, jaka zawziętość w sercach i nienawiść! —
wskrześ ich, zbudź, a do rzezi rwać będą się znowu!
...Śpijcie! Jeno rubinkiem niechaj ślaz się krwawi
i niech nad mogiłami czczy żali się powój...

— Wracamy! Koń uszyma strzyże, parska, rwie się...
— ...A Ty, Jezu najsłodszy, co idziesz w promieniach
księżycowych, proś Ojca, który jest w niebiesiech,
proś dla tych, tu w mogile śpiących — przebaczenia!

PRZY DZBANIE

...Aż nagle ktoś znaczniejszy — jak go zowią? basza,
czy aga — obces ku mnie na bachmacie sadzi.
— Już tedym zginął, westchnę, ratuj, Matko nasza! —
Że miał ze sobą sprośnej kilkoro czeladzi.

— Żywcem mnie chcą, miarkuję, biorą się do sznurów! —
Więc za krócicę! Proch mi pali na panewce!
Więc za szablę, aż prysła! Więc naodlew drzewcem
od kopji — w bagadyra. I zaraz do ciurów!...

„Ja was!..." A oni w nogi! Ale został aga.
— Złaź z konia, taki synu, — huknę, ile pary!
Ten w bek! Dalej bić czołem, w strzemię cmokać, błagać!
...Dał pierścień... Hę, nie zacny-ż? — Duchem, wina, stary!

POWRÓT

Młody wojak wzuł skórznie, portki w pasie ściąga.
Schrupał, jak nic, kapłona, wysuszył gąsiorek. —
Pachoł niedźwiedzią czuhę cisnął do wasąga,
nakrył zdobycz rańtuchem, zawiesił węborek.

— Otwieraj, capie, wrota!... Na, szynkarka!... Ruszaj! —
Z tyłu wóz, charty z boku i przodem pocztowi...
Ej, wyrywa się serce, raduje się dusza:
szlakiem dobrze znajomym truchtasz ku domowi!

— ...Niech będzie pochwalony!... — Synu!... — Ojcze, matuś!
— Oj, dech ze mnie wypuścisz!... — Wcaleś się nie zmienił...
— — — — — — — — — — — — — — — —
(Zaraz i senny wieczór rozsrebrni się światu...)
— — — — — — — — — — — — — — — —
— ...Wojnę lubił, obaczysz, prędko się ożeni..."

JANUSZ KAWECKI

NA WIDOWNI

Strzały w Marsylji. — Skąd się one wzięły? — Plaga myszy w Europie. — Pan Patkowski organizuje Europę dla dobra regjonalizmu polskiego. — Czego się nauczył? — Rzucanie nacjonalizmów mniejszych na większe i zamęt. — Redukowanie dworzan i ich cynizm.

POLITYKĘ nazywają grą, ale oczywiście nikt nie weźmie Piotra Kelemana za partnera króla Jugosłowiańskiego Aleksandra i ministra francuskiego Barthou. Inni partnerzy byli tu czynni. Ukryci są w obłokach konspiracji, rozsiani w diasporze międzynarodowej. Min. Barthou zginął przypadkiem; sprawcy jednak pewno przytakują w duszy temu przypadkowi: „niechaj wiedzą, że zginie każdy, kto sprzyjać będzie nacjonalizmowi panującemu".

Idea demokratyczna pracuje bezustanku, „rzeczywistość" bowiem w jej świetle nie wydaje się być wykończoną. Idea demokratyczna pracuje na rzecz wszystkich plemion, pragnących mieć swoją państwowość. Za duże są — powiadają ci w obłokach — kompleksy państwowe narodowe, trzeba je parcelować, proszkować, gubić pojęcie szerszej ojczyzny. Precz z nacjonalizmem — niech żyje regjonalizm!

Gdyby nie ta organizacja międzynarodowa, pracująca na rzecz mniejszości, czy możliwa byłaby ta łatwość organizowania przedsiębiorstw terorystycznych w krajach bałkańskich i w Polsce, urządzania rewolucyj w Hiszpanji i t. p? Czy dałaby się wytłumaczyć sytuacja we Francji np. że ludność patrjotyczna demonstruje przed urzędem policji, poczytując ją za zdemoralizowaną prądami rozkładowemi?

— — — — — — — — — — — — — —

Przejdźmy jednak od dzienników do krytyki literackiej.

Tej jesieni wyszło z pod prasy w Warszawie dwutomowe dzieło, wydane nakładem Sekcji regjonalistyczno-krajoznawczej Związku nauczycielstwa polskiego. Tytuł: „Ruch regjonalistyczny w Europie". Redaktorem jest p. Aleksander Patkowski. Razem stron XII, 428 i 394 = 834. Pokaźne dzieło, budzące podziw z powodu zamożności naszych nauczycieli szkół powszechnych i szerokiej skali ich zainteresowań społecznych. Podziw rośnie, gdy zajrzymy do środka: oprócz polskich referentów, nauczycielstwo nasze zaprzęgło do pracy literackiej długi szereg pisarzy obcych: z Danji, Holandji, Francji, Włoch, Czechosłowacji, Belgji, Anglji, Szwajcarji, Jugosławji, Szwecji, Hiszpanji, Sowietów, Niemiec, Węgier.

Bardzo rozległe stosunki i zainteresowanie międzynarodowe posiada nasz związek nauczycielski. Pokazuje się z przedmowy p. Patkowskiego i z relacyj zagranicznych, że ten skromny, literacko-kulturalny ruch regjonalny zaczął swoje dzieje od międzynarodowej organizacji. Ktoby pomyślał, że nasze skromne robótki kulturalne na prowincji, zanim się o nich kraj dowiedział, weszły już do referatów międzynarodowych i że wzajemnie działacze obcych krajów, nawet tak starych, jak Anglja i Francja, spowiadają się przed naszem nauczycielstwem ze swych kłopotów regjonalnych i planów roboty! Mało znany w kraju własnym, skromny pracownik oświatowy p. Patkowski w przedmowie opowiada, że źródłem tego dzieła była „troska, poszukująca g ł ę b s z e j i n o w e j t r e ś c i życia społecznego odrodzonego P a ń s t w a P o l s k i e g o w różnorodnych, a tak odmiennych skupieniach ludnościowych i terytorjalnych Rzeczypospolitej".

W poszukiwaniu tej nowej dla życia polskiego treści (na „przedwiośniu" — jak się wyraża) „narastała łączność ze światem europejskim tych samych, lub bardzo bliskich idei, wysiłków lub znakomitych doświadczeń... Na tle powiązanej łączności z Federacją regjonalistyczną francuską powstała myśl zebrania doświadczeń europejskich"...

Ciekawa historja! Zacząłem się rozczytywać w grubych księgach. Ale przeszkadzało mi dziwne uczucie, że słyszę chrobotanie myszy, a nie lubię myszy. Wnet się zorjentowałem. Głosy dochodziły mnie z książki: myszy (*mus masonicus*) są w Europie. Wyraźnie je słyszę, jak pracują koło korzeni zwłaszcza cywilizacyj romańskich i słowiańskich... Cóż to za plaga!

Czytam i widzę, jak w pewnej dacie rozeszła się (skądś z obłoków) komenda: „regjonalizm"! Rzucono się do roboty, jedni w dobrej wierze wzięli się do studjowania geografji swego kraju, drudzy jednak, lepiej wtajemniczeni, odrazu sięgnęli do demografji, od strony zwłaszcza etnograficznej. Naiwni szukają sposobów zasilenia swojej cywilizacji energją pracy lokalnej, wtajemniczeni — szukają tylko odrębności, gdzieby się dało coś rozczepić i przeciwstawić.

Działacz czeski, Jarosław Stepanek, w referacie swoim (I, 78) opowiada, jak to Czesi w r. 1928 urządzili u siebie ankietę w sprawie regjonalizmu. Zawdzięczając (powinno być: dzięki) ankiecie — pisze p. Stepanek — poznaliśmy regjonalistów polskich w osobie Aleksandra Patkowskiego z Warszawy, niemieckich (A. Weitzel z Franfurtu n/M), włoskich (Crocioni z Bolonji)"

Każdy pewno zapyta o logikę tego zjawiska. Ludzie, wychodzący z założenia, że twórczość cywilizacyjną trzeba zdecentralizować, aby ją zasilić energją lokalną w powiecie, w przystosowaniu do indywidualnych warunków miejsca, ci ludzie zwracają się o radę do międzynarodowego areopagu regjonalistycznego. To dziwne, bo przecież po naukę radosnej nawet twórczości ogólno-państwowej nie wypadałoby jeździć na konsylja światowe. Tutaj, gdy chodzi o najintymniejszą pracę narodową... Przepraszam: p. Patkowski nie mówi o „narodzie". Dla niego istnieje tylko Państwo, tylko ludność i tylko terytorja. Dlaczego? To się pokaże niżej.

Tenże p. Stepanek z rozczuleniem wspomina, że sędziwy prof. Masaryk uczył w uniwersytecie, iż „początkiem rzeczywistego zwycięstwa i d e i d e m o k r a t y c z n e j staje się kwestja wyzwolenia narodów m a ł y c h". Hasłem regjonalizmu jest „służyć sprawie nie tylko swego państwa, lecz również całej Europy i ludzkości". Tak powtarza hasła p. Stepanek, zablagowując siebie i cały regjonalizm. Masaryk miał na myśli naród czeski; wojna przywracała życie narodom „małym" i to podawano za zwycięstwo idei demokratycznej. Ale ta idea idzie teraz dalej i przez ruch regjonalistyczny pragnie dotrzeć do narodów n a j m n i e j s z y c h, jeszcze nie żyjących państwowo. Obecnie „idea demokratyczna" (czytaj masonerja) pracuje nad wytworzeniem ruchu s e p a r a t y s t y c z n e-

go. I to jest zadanie regjonalizmu międzynarodowo organizowanego.

Trzeba to wyraźnie powiedzieć, zrywając maskę z obłudników, wyjaśniając prawdę naiwnym. Czytajcie takiego Stepanka, w jak śmiesznem znalazł się położeniu. Mógł być dobrym krzewicielem kultury na powiatach, masoni zawrócili mu w głowie, powtarza hasła o służbie dla ludzkości przez regjonalizm, ale gdy mu wypadnie demonstrować pracę na swojej ojczyźnie, bierze w nim górę patrjota, ceniący rację stanu Czechosłowacji, i ani słówkiem nie wspomni o takich „regjonach", jak Słowacy i Ruś podkarpacka.

Wogóle całe to dzieło zbiorowe, wymozolone w złej polszczyźnie przez p. Patkowskiego, odtwarza przeraźliwy obraz zamętu w głowach mędrkującej inteligencji europejskiej, zamętu sprawionego przez masonerję. Pod pozorami niewinnej pracy naukowej, ściągającej sprawę życia narodów do zagadnień geografji i tektoniki, pcha się niewyrobione politycznie umysły w ruch separatystyczny. Szukanie odrębności lokalnych — oto zasadnicze hasło tego regjonalizmu, szukanie szpar, szczelin, zagrażających bytowi państw z ludnością mieszaną. Zaprząc do tego dłubania w szczelinach „ideę demokratyczną" naiwnych uczonych, przemądrzałych półinteligentów — oto idea.

Lepiej w plan wtajemniczeni i bardziej czynni w polityce regjonaliści wyrażają się nie tak obłudnie, głoszą wprost separatyzm. Taki np. belgijczyk (Destrée) zwierza się Związkowi naszego nauczycielstwa jedynie ze swych trosk z powodu krzywd flamandzkich i walońskich i ze swych marzeń o separacji. Pisze on rzecz charakterystyczną (a pisze w r. 1931): „Od kilku miesięcy regjonalizm zrobił ogromne postępy... Po stu latach zjednoczenia powracamy powoli, pod postacią nowoczesną, do naszego odwiecznego ideału"...

Mamy w oczach świeżą plamę na Hiszpanji z dymem krwi bratniej, pozostałym po rewolucji katalońskiej. Oczywiście interesować się musimy, jak p. Patkowskiemu referuje pracę „regjonalistyczną" katalończyk (Artur Perucho, 1930 — 32). Zacytuję takie zdanie: „Czy jeszcze ośmieli się kto twierdzić, że Hiszpanja potrzebną jest Katalonji do jej egzystencji, i że Katalonja nie posiada warunków ekonomicznych, pozwalających jej być niezależną?" (I, 236). Tutaj huczne oklaski nauczycielstwa polskiego.

Uderzające jest chamstwo materjalistyczne dzisiejszej idei demokratycznej, barbarzyństwo, jako pozostałość dogasającej epoki socjalistycznej. Hiszpanja niepotrzebna Katalonji, bo i bez niej się wyżywi! Jak w takiej epoce tworzyć cywilizację wielką, domagająca się wielkiego wkładu idealizmu? Barbarzyńca uproszcza rzecz dziejową: z narodu czyni pojęcie geograficzne, z dodatkiem odpowiedniego przemysłu, podczas gdy naród, jako twórca cywilizacji, to nietylko geografja. Ma on nie jeden, ale trzy wymiary: geografję, historję i misję dziejową.

Związek nauczycielstwa według *regime*'u dzisiejszego nie ma prawa wymawiać słowa „naród" (polski), ale z jakimże zapałem oklaskuje pewno zdanie tegoż katalończyka, gdy mówi o nacjonaliźmie katalońskim: „Dziś dążenia nacjonalistyczne są ideałem większości... Aspiracje separatystyczne stały się naturalnym wynikiem ideału nacjonalistycznego"... Sprawę bowiem tak postawiła masonerja: tępić nacjonalizm narodów panujących, rozpłomieniać nacjonalizm mniejszości. Jakiż to zamęt!

Jakiś znowu mason szwajcarski (De La Harpe), przyzwyczajony do swobody słowa, wykłada nauczycielstwu polskiemu:

„W wielkich krajach Europy nacjonalizm, dążący do jedności narodowej, jest wyłączny, absolutny, panoszy się np. wśród stronników „*Action Française*" we Francji, hitlerowców w Niemczech, faszystów we Włoszech, komunistów w Rosji, a prawdopodobnie również w Polsce w niektórych środowiskach politycznych. Szwajcar odwraca się od takiego fanatyzmu i uważa go za objaw nienormalny, chorobliwy"...

(Huczne oklaski nauczycielstwa!)

„Nie wypływa to stąd, że Szwajcarja lepszą jest niż inne kraje, chroni ją jednak od przesady siła regjonalizmu; jest bowiem zupełnem przeciwieństwem syntetyczny patrjotyzm szwajcarski od patrjotyzmu nowoczesnego, opartego na podstawie lingwistycznej"... (II, 237).

Dotarliśmy więc do sedna, czego to p. Patkowski szukał u regjonalistów zagranicznych. Oto, Szwajcarzy wyrabiają ser — przepraszam — patrjotyzm syntetyczny. W Polsce istnieje patrjotyzm lingwistyczny, trzeba więc w Polsce to zmienić.

Ładnieby wyglądał hotelarz w Szwajcarji, gdyby chciał być patrjotą lingwistycznym; on musi mówić syntetycznie, jak dobry kelner.

I w Polsce trzeba wprowadzić do użytku ogólnego żargon żydowski. T-wo Krzewienia Kultury Teatralnej szczęśliwie weszło teraz na tę drogę patrjotyzmu syntetycznego (Sanacja wogóle jest syntetyczna). Bowiem — jak wykłada p. Patkowski—„każdy naród uważa się za uciśnionego, jeśli zmuszony jest rozwijać swą wyższą kulturę w języku, który nie jest jego ojczystym" (I, 14).

Niech się Związek nie uważa za „obrażonego", ale mu powiem do słuchu, że zamiast zbawiać „ludzkość" regjonalizmem syntetycznym, niechaj jego pisarze wezmą się raczej do uprawiania mowy polskiej, niech wyrwą lud i siebie z analfabetyzmu, niech się zatroszczą o Polskę.

— — — — — — — — — — — —

Ośmielam się wyrazić ten pogląd ze stanowiska... literackiego, pisałem o książce jako krytyk. Niemiły mi jest bowiem, jako krytykowi kultury, widok, kiedy ktoś mający kwalifikacje do dłubania w nosie, powiada o sobie: górnik jestem i zakłada akademję górniczą.

Ale przejdźmy z literatury znowu do dzienników. Jak wygląda — w świetle tego, co się mówiło wyżej — ideologja dzisiejszych konserwatystów? Otóż w „Czasie" składają oni taką ofertę (w artykule „Ewolucja Bloku Bezpartyjnego"):

„Wielkie dzieło przewrotu majowego może być zniweczone, jeśli nie zostaną stworzone warunki, w którychby obóz narodowy nie miał możności rozwijania swej demagogicznej (?) agitacji. Czynniki pomajowe muszą wkroczyć na tereny jeszcze w znacznym stopniu przez obóz narodowy opanowane, muszą stworzyć komórki organizacyjne, któreby dla umiarkowanych grup naszego społeczeństwa stanowiły dużą atrakcję.

Tendencje narodowe rozwijają się głównie wśród drobnomieszczaństwa, inteligencji i zamożniejszych chłopów. Zadaniem obozu zachowawczego w ramach Bloku Bezpartyjnego jest odciągnięcie tych warstw od obozu narodowego. I tylko zachowawcy mogą tego dokonać".

Obóz narodowy w Polsce reprezentuje ideologję Polski wielkomocarstwowej, tworzonej z ducha narodu polskiego. Zdawałoby, się, że jest to idea bardzo konserwatywna, dotąd bowiem Polska

trwała i cierpiała nie anonimowo, niby jakaś spółka akcyjna, lecz była własnością narodu polskiego. Konserwatyści uważają, że — co jak co — ale własność tak idealnie pojęta, jest przeżytkiem. Domagają się patrjotyzmu „syntetycznego". Niewolnicy, postawieni pod ścianą, kopią sobie sami grób i łopatą wykładają swe zasługi bez cienia godności.

Sanacja majowa z powodu kryzysu redukuje potrochu swój dwór, zbytnio przeciążony służbą galonowaną. Widzimy, jak brygada szlachty i kapitalistów molestuje a podlizuje się, aby jej nie usuwano. Stańczyk, którego kaduceuszem konserwatyści krakowscy się pieczętowali, znalazł w BB konkurenta bardzo wpływowego w żydku kabaretowym. I ten padł teraz ofiarą oszczędności. Sanacja odmówiła dalszych subsydjów „Cyrulikowi", w którym pp. Słonimski i Tuwim składali w hołdzie pomajowym panom swoim swych myśli przędzę i uczuć kwiaty. Z powodu zmniejszonego obroku p. Słonimski tak się żali w „Wiadomościach Literackich" (Nr. 40):

„Cyrulik" urodził się w r. 1926 w miesiącu maju. W krótkiem swojem życiu... wieleż razy zasłużył się dzielnie w walce z kołtuństwem, z tym typem psychicznym, ze specjalnem kalectwem narodowem, które się nazywa „Endecją"... „Cyrulik" zasłużył się niemniej chyba od kasztanki, to też na starość powinien był stać u jakiegoś żłobu... Sądzę, że ta pozycja warta była paruset złotych deficytu miesięcznego"...

Pozycja ta sama, co „Czasu", tylko cyniczniejsza, ale sens ten sam, bo wszystko razem należy do „współpracy" w celu parcelowania praw narodu polskiego do suwerenności.

Mniej się dziwię żydom, niż „Czasowi", bo ci jednoczą się nawet z bolszewikami do walki z „kołtuństwem" polskiem. Powiem jednak p. Słonimskiemu, że od kołtuna (*plica polonica*) daleko cięższą chorobą są — parchy.

ZYGMUNT WASILEWSKI

GŁOSY

ZMARŁ RAJMUND POINCARÉ... Dźwięk tego imienia ma snadź pewną moc symboliczną, skoro sam przez się czyni jakgdyby nierealną myśl o obecnych, przejściowych nieporozumieniach w stosunkach francusko-polskich. Kieruje ją na głębszy nurt historji. Przywołuje na pamięć wspomnienie nadludzkiego patosu dziejów Wielkiej Wojny i zarazem wspomnienie najściślejszego i najbardziej owocnego okresu współdziałania politycznego Polski i Francji. Zmarły był przez długie dziesiątki lat jedną z czołowych postaci Francji republikańskiej. Nikt już prawie nie został z zastępu, który tak jeszcze niedawno reprezentował tę Francję w oczach świata. Clemenceau, Foch, Mangin, Briand, Doumer, Lyautey, Barthou — zeszli do grobu. Imię Poincaré'go także nie będzie już więcej, jak dotąd przez tyle dziesiątków lat, wymieniane przy ocenie konjunktur i możliwości rozwoju zdarzeń w polityce bieżącej. Ale nic nie stłumi echa, którem to imię trwale odzywać się będzie w historji. Związane jest na zawsze z decydującym, błogosławionym dla Polski przełomem w dziejach Europy. Dlatego, obok imienia Foch'a, najwierniejszy i najżywszy wywoływać będzie oddźwięk w sercu Polaka. Symbolizować też będzie nadal logikę koniecznego systemu wspierania się i współdziałania politycznego Polski i Francji, logikę, o której zapomnieć narodom tym nie wolno.

Tę myśl polityczną ucieleśniał Poincaré wyraziściej może, niż ktokolwiek inny z polityków tego wymierającego dziś pokolenia, pokolenia wyrosłego w atmosferze tradycyj polsko-francuskiej przyjaźni. Zrozumiały, jako rzecznik tych tradycyj i tego programu, jako osobistość kierownicza w polityce francuskiej, był przedstawicielem zaprzyjaźnionego z nami, lecz nadzwyczaj mało rozumianego w Polsce narodu.

Bez trudu objaśniamy sobie przecież Francję wyczerpująco przy pomocy seryjnych „demo-liberalnych" formułek... Objaśnienie to przeszkadza nam zrozumieć przedewszystkiem fakt, że naród francuski jest — bardzo mocno skrzepionym wewnętrznie narodem, czyli spoistą w gruncie rzeczy jednością, której istnienia domyślić się nawet trudno, jeśli się skoncentruje uwagę tylko na mechanice przesileń parlamentarnych i przegrupowań partyjnych. Nie zastanawiamy się nad tem, iż rzeczywiste rozbicie wewnętrzne narodu uwydatnia się nie w zmianie ludzi na stanowiskach kierowniczych, jeno w zmianie polityki w zależności od zmiany osób. Nie zwracamy zaś dostatecznie uwagi na to, w jak wielkiej mierze polityka francuska, mimo częstych w niej „przesileń" ministerjalnych, pozostaj niezmienna.

Ten konserwatyzm utrwalać może oczywiście i polityczne błędy. Ale sam przez się jest dowodem potężnej, rzeczywistej wspólnoty ideałów i pojęć politycznych w narodzie. I wystarczy wymienić Foch'a, Clemenceau, Barthou, Poincaré'go, aby uprzytomnić sobie, jak wyraźnie ci zasłużeni dla ojczyzny Francuzi, Francuzi różnych przekonań, służyli jednej sprawie, jaką mieli wspólną ideję, jak podobny patrjotyzm, jak dalece identyczne pojęcia o roli i stanowisku Francji w Europie, w jak znacznej mierze ci, niezorganizowani razem indywidualiści tworzyli jeden, pracujący skutecznie, zespół.

TAK niedawno jeszcze była na ustach wszystkich sprawa zatargu matek-Polek z władzami szkolnemi w Łomży o narzucenie dzieciom nauczycieli żydów, a już mamy drugą, prawie że identyczną historję w Grajewie. I tam w szkołach powszechnych zamianowano nanczycielami żydów (podczas gdy tyle tysięcy wykwalifikowanych sił nauczycielskich, z ukończonemi seminarjami, siedzi w domu bez pracy!). Oczywiście w odpowiedzi na to posypały się protesty rodzicielskie. Nic nie pomogło. I oto K. A. P. donosi o nieprawdopodobnym wprost obrocie sprawy: mianowicie rodzice przestali posyłać dzieci do szkół, na co miało nadejść pismo ze starostwa w Szczuczynie, grożące im konsekwencjami w razie dalszego oporu, a gdy i to nie pomogło, w domach opierających się dokonać miano zajęcia rozmaitych rzeczy.

Wprawdzie w parę dni po ogłoszeniu tej wiadomości, w prasie ukazało się sprostowanie urzędowe, nadesłane przez Komisarjat Rządu, ale sprostowanie to nie negowało wszystkich faktów, podanych przez K. A. P., a przedewszystkiem tego, że istotnie trwa strajk dziecięcy z powodu nieuwzględnienia życzeń rodzicielskich, kategorycznie

sprzeciwiających się temu, ażeby ich potomstwo miało być nauczane i wychowywane przez żydów.

Odwróćmy teraz całą sprawę i wyobraźmy sobie, że do szkoły żydowskiej przysyła się nauczycieli Polaków. Coprawda, trudno jest nawet wyobrazić sobie podobną sytuację... Ale spróbujmy! Żydzi podnieśliby z miejsca niebywały poprostu wrzask, któryby odrazu przekroczył granice państwa i sprawił w obecnych warunkach i przy obecnych stosunkach przedstawicielom naszego M. S. Z. wiele kłopotu...

Jakże żywo staje w oczach epizod z przed półtora roku na posiedzeniu Nadzwyczajnej Konferencji Akademickiej! Jest czerwiec i ustawa o zniesieniu autonomji została już przyjęta przez Sejm, a nawet podpisana przez Prezydenta Rzplitej, skutkiem czego rozeszła się pogłoska, zapowiadająca wprowadzenie żydów do organizacyj akademickich. Cały więc ogromny wysiłek, dążący do izolowania się od żywiołów obcych, zostałby odrazu zniweczony. To też prawdziwa troska ogarnęła przedstawicieli młodzieży. Nagle wśród ożywionej dyskusji odezwał się głos, który napoły ironicznie począł twierdzić, iż to się stać nie może ze względu na... t. zw. mały traktat wersalski, gwarantujący mniejszościom narodowym w Polsce swobodny rozwój i zakazujący wprowadzania wbrew ich woli, do organizacyj o zawarowanym charakterze narodowym, członków narodowości innej. A że rząd (formalnie) stoi na stanowisku równości wszystkich obywateli, a więc tem samem nie potraktuje Polaków, jako obywateli drugiej kategorji.

Obecnie jednak traktat ten (wprawdzie tylko do chwili jego upowszechnienia) został, jak wiadomo, wypowiedziany...

Tak więc, matki-Polki z Grajewa, ostatnia legalna deska ratunku została wam usunięta...

Niema to jak mocarstwowość!

NAUKA i LITERATURA

Z RUCHU WYDAWNICZEGO

Alfons Szyperski „Mowa zapomniana", o archaizmach w Wielkopolsce. (Drukarnia Środecka, St. Malicki i S-ka w Środzie). W szeregu rozdziałów autor omawia kwestje pochodzenia, natury i rozwoju słów. Tytuły rozdziałów wskazują na rozległą w zakresie nauki polskiego słownictwa rozpiętość materjałów i motywów. Rozdziały te to: Co to są archaizmy? Dlaczego wyrazy giną? Ślady archaizmów w mowie wykształconej; Archaizmy w nazwach i nazwiskach; Archaizmy w wielkopolskiej mowie ludowej; Głosownia; Budowa imion; Deklinacja; Czasownik; Słownictwo; Archaizmy w djalekcie kulturalniejszym i wreszcie alfabetyczny zbiór słów w skorowidzu. Stylem gawędziarskim, żywotnym i przystępnym wyobraźni czytelnika, opowiada historję wyrazów obcych, niemieckich i włoskich, przybyłych „w gościnę na ziemię polską", które po wieku, czy dwu, tak, jak zostały przyniesione falą kulturalną, tak i odeszły, ustępując miejsca rdzennym wyrazom polskim. Inne „zadomowiły się, spolszczyły". Inne, gdy przedmiot stracił swą rację bytu, jak to bywało w prymitywnym przemyśle domowym, przepadły w niepamięci. Nieraz użytkowanie słowa obcego narzucała moda, mimo że w obiegu było własne określenie, albo znów przeżytkowo do dziś zachowały się zwroty i końcówki, które właściwie nie odpowiadają już duchowi naszej mowy dzisiejszej. Albo też nadaje się nieodpowiednią danemu pojęciu nazwę. Naprzykład słowo wojewoda. Zwan był tak od dawnego słowa: wojów, których wodził w bój (dziś chyba w czasie wyborów...). Innym powodem staropolskiego brzmienia słów jest archaizowanie mowy przez pisarzów i poetów. Szkoda, że przy omawianiu tego tematu nie ostrzegł autor przed archaizowaniem mowy *à la* pani Z. Kossak-Szczucka. Najwięcej przechowuje archaizm brzmienia słów mowa ludowa. Inaczej też, jeśli chodzi o samo brzmienie, starsze pokolenie pisze słowa: śnieg, mleko, inaczej wymawia: śnig, mliko. Pewne formy wysłowienia są poprawne ze stanowiska historji, innych form przestaliśmy używać, inne mają prawo obywatelstwa w mowie regjonalnej. Niektóre archaizmy przetrwały do dziś dnia nietylko w gwarach ludowych, ale także w mowie kulturalniejszej. W mowie oczywiście tylko pewnych dzielnic (bo inaczej nie byłyby archaizmami), przy braku ich we współczesnem piśmiennictwie ogólnopolskiem. Tak więc może się zdarzyć, że np. mowa współczesna warszawska uzna za przestarzałe niektóre wyrazy lub formy wielkopolskie, czy wogóle zachodniopolskie. P. A. Szyperski zauważa przytem, że „Słownik Warszawski" zaczął wychodzić 36 lat temu, a więc nie objął najnowszej polszczyzny. „Brak nam z drugiej strony naukowego słownika staropolskiego, który od szeregu lat pracowicie powstaje w Krakowie".

Studjum A. Szyperskiego „Mowa zapomniana" zawiera mnogie rezultaty skrzętnych poszukiwań, wzbudza uczucie dbałości o szlachetność mowy, i ukazuje nam przeszłość i wieczną młodość narodu. (A. W.)

Z LITERATURY ZAGRANICZNEJ

Znany muzykolog francuski, wielbiciel Szopena Edward Ganche wydał świeżo książkę „*Voyages avec Fr. Chopin*" („Podróże z Szopenem"), w której mówi o pobycie Szopena z panią George Sand na Majorce oraz z Jane Stirling w Szkocji. O tej nowej książce zasłużonego historjografa genjalnego muzyka, krytyka francuska mówi z wielkiem uznaniem. Leon Daudet odzywa się o niem w ten sposób: „Są w tej książce, pisanej językiem prostym, lecz eleganckim, bez afektacji — stronice wzruszającego zrozumienia *à la* Barrès, które, malując kraje, dają nam krajobraz jesieni jako tło życia istoty prawdziwie jesiennej, która miała bardzo krótką wiosnę „bez lata". (W. J.)

•

Jako świadectwo tego, jakim radykalnym zmianom ulegają z czasem poglądy na czczonych niegdyś pisarzy, podajemy parę opinij młodego pokolenia Francuzów o Anatolu France'ie (p. „*Le Figaro littéraire*"). Tak więc, podług Ph. Soupault, France jest mistrzem konfuzji, dla Thierry Maulnier reprezentuje on kulturę anemiczną, bezkrwistą. P. Bost jest zdania, że powieść „*Le lys rouge*" — jest doskonałością w rodzaju obrzydliwym i t. p. Podobna rewizja poglądów odbywa się i w stosunku do W. Hugo. W wydawanych po śmierci Barrès'a jego notatkach *(„Cahiers")*, znajduje się tego rodzaju sąd o najgłośniejszym poecie Francji: „*Loquentia multum, sapientia parvum, verborum flumen, mentis gutta*". (W. J.)

ZE ŚWIATA SZTUKI

„MIĘDZYNARODOWA WYSTAWA ARTYSTEK W IPS-ie"

„INTERNATIONAL FEDERATION OF BUSINESS AND PROFESSIONAL WOMEN" pragnie zjednoczyć kobiety pracujące różnych narodów. Ma swe oddziały w wielu krajach Europy. W Polsce należy do Federacji „Polskie Zjednoczenie Kobiet pracujących zawodowo". Plastyczki, zrzeszone w tym związku międzynarodowym, urządziły w zeszłym roku, w Amsterdamie, swoją wystawę. Uczestniczyły w niej przedstawicielki 13 narodów. Druga taka impreza została zorganizowana teraz, w Warszawie, w salach Instytutu Prop. Sztuki. Tym razem w pokazie uczestniczy 7 państw. Nie biorą udziału artystki z Ameryki, gdzie Federacja ma właśnie największą liczbę członkiń.

Wystawa sztuki kobiet była projektowana przez IPS oddawna, jeszcze za życia Skoczylasa. Spodziewano się po niej niejednego, liczono, iż będzie pokazem ciekawym, czyniącym aktualnem zagadnienie sztuki kobiecej, jako czegoś odrębne-

go. Wspominał mi o tem ówczesny kierownik IPS-u, Skoczylas.

Tymczasem wystawa zawiodła. Już może zgóry licząc się z niepowodzeniem imprezy, Komitet Organizacyjny zastrzegł kategorycznie, że niema żadnej „sztuki kobiecej“, że to są pojęcia dziwaczne. Nie bardzo jednak wierzymy w szczerość tych zapewnień. Jeśli nie uważano, iż manifestacja dorobku kobiet na tem polu wykaże się pewnemi walorami odrębności, to w takim razie jakie racje przemawiały za urządzeniem podobnej wystawy? Zrzeszanie się, tylko z tytułu odmienności płci, czyż można uważać za wystarczające? Przecież nikomu nie przyjdzie do głowy organizowanie „związku mężczyzn"(!). Autorzy takiego projektu naraziliby się na słuszne kpiny. A kobiet na świecie nie jest przecież tak mało (przeciwnie, podobno więcej, niż mężczyzn), by ich związek miał wartość jakiegoś rezerwatu. Zapewne istnieją sprawy organizacyjno-zawodowe; w imię wspólnej pieczy nad temi sprawami mogły się kobiety połączyć, ale od tego do wspólnych ideałów w sztuce (i wystąpień) jeszcze daleko. Nie trzeba się wstydzić i, mimo że wystawa się nie udała, lepiej się przyznać, iż chciano właśnie wykazać odrębne wartości sztuki kobiet. Wtenczas urządzanie podobnych wystaw będzie miało sens, bez względu na chwilowe, takie lub inne, rezultaty.

Odrębność fizyczna i psychiczna kobiety daje jej również na terenie sztuki różne możliwości, których ona, jak dotychczas, zdaje się nie doceniać. Kobieta-plastyczka, równie często matka, a przynajmniej opiekunka dziecka, z natury swej ma możność, np., poddania świata dziecięcego obserwacji bardziej wnikliwej, niż mężczyzna. Jeśli jako pisarka potrafiła nieraz tak głęboko wejrzeć w duszę dziecka, dlaczego nie czyni tego również jako plastyczka, by zanotować to, co wyrażalne formą i barwą? To jest najwłaściwsze, jeśli artysta odtwarza świat najbliższy sobie i najgłębiej odczuwany. Dlaczego kobieta tego nie robi? Kobieta zbyt często jeszcze pragnie naśladować mężczyznę; robi wtenczas to samo, co on, tylko przeważnie gorzej.

Wystawione na międzynarodowym pokazie plastyczek dzieła, ani tematem, ani pragnieniem plastycznego rozwiązania nie zamierzają wyjść poza strefę rodzaju sztuki, uprawianego przez mężczyzn. Nawet odrębności narodowe zaznaczają się tu słabo. Coprawda, w wielu wypadkach byłoby niesprawiedliwie sądzić o sztuce kobiet danego kraju na podstawie zgromadzonych eksponatów. Wiemy, że często sprawa naprawdę przedstawia się lepiej, tutaj tylko zgromadzono niedostateczną ilość prac i w nienajlepszym wyborze. Zbiór dzieł przeważnie jest raczej rzeczą przypadku, a nie metodyczną kompozycją określonej w charakterze całości.

Uczestniczą w wystawie: Anglja, Francja, Holandja, Włochy, Czechosłowacja, Węgry, Rumunja i Polska. Spis doprawdy imponujący, lecz treść wystawy bynajmniej mu nie odpowiada. Kartka z nazwą państwa, często przy kilku zaledwie, i to bardzo mizernych eksponatach, czyni wrażenie groteskowe. Nie spodziewamy się po niewielkiej i młodej kulturalnie Rumunji, by poziom malarstwa kobiet rumuńskich różnił się znacznie od tego, co pokazuje wystawa, ale już takie działy, jak angielski i francuski, są jawnem fałszowaniem rzeczywistości. We francuskim nie znajdujemy ani jednego poważniejszego nazwiska, w angielskim wisi kilka akwarelek (jakoś panie nie cenią sobie własnego związku).

Holandja jest względnie poprawna i przeważnie nudna, Czechosłowacja niezdecydowana w typie, stosunkowo największą ilość poważniejszych już prac znajdujemy w dziale włoskim, ale najbardziej interesujące i jednolite w charakterze są Węgry. Spotykane tu koncepcje nie należą zasadniczo do wynalazków w malarstwie współczesnem nowych i oryginalnych, lecz malowane, z ich uwzględnieniem, płótna są przynajmniej traktowane inteligentnie i z dużem wyczuciem istotnych wartości artystycznych. Najwyraźniej zaznacza się skłonność do dekoracyjnego ujmowania odtwarzanej rzeczywistości i ekspresjonistyczne traktowanie formy. Żywem poczuciem kolorystycznem wyróżniają się szkice artystki Elisabeth Loranth.

Dział polski, najliczniejszy, lecz również przez nasze artystki zlekceważony, należy, mimo to, do najlepszych na całej wystawie. Zawiera prace przeważnie już wystawiane. Wystawę uzupełnia rzeźba: głowy i akty, dłuta artystek polskich i włoskich. Dzieła naszych rzeźbiarek odznaczają się dobrem wyczuciem formy rzeźbiarskiej, rozumnem komponowaniem całości bryły; włoskie zaś— przeważnie naturalistycznem ujęciem. Skutki tak odmiennego traktowania podobnych zadań określa najwymowniej zwłaszcza porównanie z sobą dwu rzeźbiarskich aktów. Akt oczyszczony z przypadkowości, nieistotnych odchyleń indywidualnych w modelu, staje się czemś szlachetniejszem: harmonijnem uosobieniem nagości, a nie jakąś konkretną osobą, gdy tymczasem akt, traktowany z nieporadnością, w sposób naturalistyczny, to, powiedzmy, poprostu — Helenka Kupść, Topiel 11, — nazwisko i adres oczywiście w tłumaczeniu na włoski...

WIKTOR PODOSKI

ZMARLI

Ś. † P. WINCENTY SZUDEJKO

ZGRONA czcigodnych obywateli grodu podjasnogórskiego ubył niedawno ś. p. Wincenty Szudejko, długoletni dyrektor gimnazjum w Częstochowie.

Należał on do tych Polaków, którzy całe swoje życie poświęcili pracy społecznej i pracy nad młodzieżą.

Już od wczesnej młodości pracuje w licznych, konspiracyjnych i oświatowych organizacjach wśród robotników i młodzieży w Częstochowie, w Piotrkowie Trybunalskim, w Warszawie, za co zostaje przez Moskali więziony w Cytadeli Warszawskiej, potem wysłany w głąb Rosji.

W pamięci katolickiego i narodowego społeczeństwa częstochowskiego, a szczególnie młodzieży, wstępującej w życie w latach 1912 — 1920 r. pozostawił po sobie dyr. Szudejko wspomnienie zacnego człowieka, prawdziwego przyjaciela młodzieży i niezłomnego obrońcy autorytetu i godności szkoły polskiej.

Kiedy w pierwszych miesiącach niepodległości Polski uczniowie żydzi na znak protestu z powodu jakiegoś wypadku politycznego, wbrew ostrzeżeniom dyrekcji, opuścili jeden dzień wykładów — wszyscy w liczbie 30 zostali wydaleni z gimnazjum.

Nie pomogły protesty, interwencje wpływowych osób, nawet Ministerstwa Oświaty — dyrektor nie ustąpił.

Padł jak żołnierz na posterunku, bowiem do ostatnich chwil pracował niestrudzenie w szkolnictwie, mimo wyczerpania i nadwyrężonego zdrowia.

W ubiegłą niedzielę na cichym cmentarzu w Brwinowie pod Warszawą, gdzie znalazł zasłużony odpoczynek ś. p. dyr. Szudejko, odbyła się żałobna uroczystość poświęcenia pomnika. S. P.

OFENSYWA

BUSSINESMAN G. B. SHAW

LAT temu dziesięć „*Daily Herald*", główny organ Labourowców w Londynie bił sobie 150.000 egzemplarzy. Jak na Wielką Brytanję z przyległościami, to mało. A tymczasem dokoła rozrastały się popularne, uliczne brukowce, a co jeszcze gorsza amerykańskie w typie baobaby czy mastodonty, w każdym razie megafony dwóch lordów nie z Bożej łaski Rothermere'a („*Daily Mail*") i Beaverbroocka („*Daily Express*"), też każdy z przybudówkami. Dzienniki dla *gentleman*'ów nadal skromne: 160 lat liczący organ 22-letniego księcia Northumberland, „*Morning Post*" niewiele nad 100.000 (124.454...) a biblja każdego Britona, „*Times*" 182.765... A tu tymczasem wulgaryzujący się z roku „*Daily Express*" przeszło miljon siedemset, połączone ze sobą „*Daily News*" i „*Daily Chronicle*" jako „*News Chronicle*" miljon dwieście, „*Daily Telegraph*" też w górę raptownie (i tylko dwa pensy), „*Morning Post*" też coraz więcej demokratyczne, choć w duchu konserwatywnie. Wobec tego i socjaliści zdecydowali się dać za wygraną z powagi, rezerwy, i przeszli na styl sensacyjny, ordynarny, wrzaskliwy, brukowy z konkursami, z ankietami, z premjami za „wykolejenie pociągu", z nagrodami dla abonentów, poradniami, z typowaniem koni wyścigowych etc.

W nagrodę za to zejście na ulicę bije „*Daily Herald*" obecnie 2.030.000 no i płaci dobrze, ma kasę pełną, daje wysokie honorarja. W nagrodę za to drukował tam swoją autobiografję, sam H. G. Wells.

Ostatnio zaś wrócił na łono potężnego i bagatego brukowca stary ale jary sym marnotrawny, Fabianista G. B. Shaw. Irlandzki Matuzalem i Proteusz w jednej osobie zawarł z żydami z „*Daily Herald*'a" jakiś bajkowy kontrakt. Dał im kompletne wydanie swych raptownie i przedwcześnie zszarzałych arcydzieł do wydania w jednym tomie, a raczej tonnie: 42 utwory 1.220 stron, kosztuje niewiele ponad nasze 5 złotych, ale tylko dla tych, co abonują „*Daily Herald*" i karmią się tą ordynarną sieczką sensacyjną *(only for)* „Nikt, nawet miljoner nie będzie mógł nabyć tego wydania moich dzieł, o ile nie jest stałym czytelnikiem „*Daily Herald*'a" miał oświadczyć niestarzejący się kawalarz i „*clown* Europy". Po Wellsie zatem ma dzisiejszy bogaty „*Daily Herald*" i Shaw'a. Kiedy bił 150.000 nie chcieli o nim słyszeć; kiedy bije 2 miljony znów w nich zbudziło się „serce"

Daje to pochop melancholikowi z „Robotnika" do gromkiego okrzyku triumfu. W specjalnej notatce o Wellsie i o Shawie " piszą:

„O Shaw krążyły w ostatnich latach pogłoski, że „rozczarował się" do socjalizmu, że sympatyzuje z faszyzmem i t. p. Jego piękny gest wobec „*Daily Herald*" świadczy nietylko o tem, że jak był, tak pozostał socjalistą, ale też o tem, że na stare lata chce przyczynić się do postępu socjalizmu, do wzrostu poczytności dziennika socjalistycznego".

„Nasz Przegląd" cieszy się, że Wells..., a nasz „Robotnik" z tego, że Shaw. A tu tymczasem mała korektura.

W październiku r. 1929 „Nasz Przegląd" dał wielki artykuł p. t.:

„Wielki pisarz angielski nie chce, aby Polska była narzędziem w ręku Francji". Poczem tymczasowe dyrdymały oparte na długim telegramie nie tyle Litawora ile Litauera z Pata. Shaw *dixit*:

— Mojem zdaniem Polska powinna uświadomić społeczeństwo angielskie, że nie jest ona narzędziem w ręku Francji.

— — — — — — — — — — — — — — — —

— Polska powinna wytłumaczyć społeczeństwu angielskiemu, że jej stosunek uczuciowy do Francji nie jest stosunkiem specjalnie uprzywilejowanym, lecz takim, jakiego wymaga polska racja stanu.

A wreszcie:

„Może pan oświadczyć swoim rodakom, zakończył Shaw z prawdziwym zapałem, że żywię wielki i szczery podziw dla osoby marszałka Piłsudskiego i dla jego zdrowego, praktycznego zmysłu politycznego".

Poczem szła w Warszawie sztuka a raczej sztuczka p. t.: „Wielki Kram" z wielkim tu hałasem przyjmowana, a w Wielkiej Brytanji padła jako „Worek z jabłkami", a na kontynencie nigdzie nie grana. W sztuczce tej ministrowie socjalistyczni (z „*Daily Herald*'a") sprezentowani są jedni jako kretyni a drudzy jako matoły, przed którymi przedowcipnie wygłupia się król Magnus *(sic)*.

W rok potem niestrudzony prorok dla półinteligecyj *(demi)* — seminteligencyj wracał z Moskwy do Londynu i dał nowy wywiatr „polski" pani J. M. z ABC., w którym dla odmiany znów tak genjalnie popaplał:

„Polska to kraj największych w Europie kontrastów. Obok superkretynów rosną w tym kraju geniusze tacy jak Paderewski, jak Konrad Korzeniowski...

...Ciemnota taka jak w dawnej Rosji, albo u nas w Irlandji".

Nowa sztuka a raczej sztuczka w Warszawie cieszyła się już jeszcze mniejszym sukcesem. Na kontynencie nigdzie...

Swego czasu Trockiemu (Lwu Dawydowiczu) wróżył G. B. Shaw całkiem poważnie karjerę Napoleona. W specjalnym polskim prologu do edycji „Cezara i Kleopatry" tuż obok dobrych dowcipów popisał wcale trywjalne banialuki, półinteligencji (*semi-inteligence-service*) ogromnie imponujące.

Brać na serjo wszystkie hopki i szopki, klocki i hocki, esy i floresy starszego pana, niema zatem racji i sensu. Cieszymy się, że znów zrobili *big bussines* i G. B. Shaw i żydzi z „*Daily Herald*'a", życząc i „Robotnikowi", aby mu się coś takiego raz udało czy wydarzyło.

ADOLF NOWACZYŃSKI

NA MARGINESIE

Jest jedną z większych przyjemności dla krytyka, jeśli poeta, uznawszy trafność jego poglądu, zastosuje się do wypowiedzianych przezeń rad i wskazań w dalszej swojej twórczości. Tę właśnie radość sprawił nam p. Juljan Tuwim, poszedłszy za udzieloną mu w „Myśli Narodowej" zachętą, aby próbował sił swego talentu poetyckiego w żargonie. Pierwszą udatną próbką w tym kierunku jest umieszczony przezeń w „Wiadomościach literackich" wiersz, naśladujący Heinego. Wprawdzie brak tu jeszcze śmiałej, męskiej decyzji, zamiast czystego, klasycznego żargonu *(jiddysz)*, poeta posługuje się naogół jakimś swoistym, polsko-niemieckim makaronizmem, np.:

„Że jak ongiś dieser Heinrich
Wiersze pisać śmiem ganz gut
I że jest im bardzo peinlich,
Że po polsku schreibt ein Jud"...

Ale są już i czysto żargonowe wyrażenia, np. „W i e r s z e n werden nur wir schreiben"... To „w i e r s z e n" jest naprawdę znakomite! Chciałoby się zawołać z entuzjazmem: „Hast du gewidział?!"

P. Tuwim odnajduje siebie. Można już być pewnym, że niezadługo — w przyrodzonej sobie formie — talent jego zabłyśnie pełnym blaskiem.

*

Od pewnego czasu konserwatyści dość często poruszają sprawę żydowską. Ostatnio znów pojawił się na ten temat namiętny artykuł w „Czasie". Tytuł — „Endecja", treść — zarzucanie jej braku pozytywnego stanowiska i kręcenie się wkółko wobec jednego hasła: „bij żydów!", wreszcie wniosek następujący:

„Czy można z takim tworem polemizować?... Czy można wytłumaczyć mu, że gdyby nie jego bezmyślność, przewrót majowy nie mógłby się stać prawotwórczym, gdyż bagnetem można władzę posiąść, lecz nie można bez m o c y m o r a l n e j jej utrzymać.

O b ó z m a j o w y tę moc p o s i a d a"...

Jeszcze chwila uwagi, tylko proszę się przedwcześnie nie śmiać. Posłuchajmy najpierw, co też taki stateczny „Czas" wyprowadziło z zasiedziałej równowagi i czemu to zawdzięczamy owe zapewnienia o mocy moralnej etc. Oto... przypomnienie przez „Gazetę Warszawską" sprawy żyrardowskiej i istotnie nadzwyczaj przykrego w niej stanowiska sfer konserwatywnych.

*

Nie tu jednak koniec naszej uciechy. W dalszym ciągu „Czas" oburza się o to, że publicystyka narodowa śmie im wypomnieć ugodowość. Przebywanie za pan „brat" z „niepodległościowcami" sprawiło, iż sami się poczynają dzisiaj uważać za bojowy element... Zwykłe, s t a r c z e osłabienie pamięci.

Dziw, że im jeszcze pozostała m o c moralna...

TREŚĆ:

Adres Redakcji: Mokotowska 11 m. 5. Tel. 9. 25-46. Adres Administracji: Al. Jerozolimskie Nr. 17. Tel. 9-87-90.

PRZEDPŁATA kwart. zł. 9, półrocznie zł. 17, rocznie zł. 32, zagranicą kwart. zł. 12, półroczn. zł. 24, rocznie zł. 45.
Konto czekowe na P. K. O. 3.105.

Redaktor naczelny i wydawca: ZYGMUNT WASILEWSKI. Redaktor odpowiedzialny: JAN REMBIELIŃSKI.

Druk. SPOŁECZNA. Pl. Grzybowski 3/5. Tel. 205-80. PRZESYŁKA POCZTOWA OPŁACONA RYCZAŁTEM